Nr. 2. (387). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 9 stycznia 1932. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX.

ŚWIATOWID

PROCES „BRZESKI" DOBIEGA KOŃCA.



Od 5 tygodni trwa już proces 11-stu przywódców Centrolewu. Toczy się on w Sądzie Okręgowym warszawskim, we wspaniałym gmachu pałacu Paca, w dawnej jego sali balowej. Trudne obowiązki przewodniczącego pełni sędzia p. Hermanowski. Widzimy go na zdjęciu. Przed nim widnieje krucyfiks, z tyłu za nim u góry godło Państwa, Orzeł biały na czerwonym polu, poniżej zaś fotele dla wyższych dygnitarzy sądowych, chcących się przysłuchiwać rozprawie. Po obu stronach fotelu przewodniczącego mieszczą się fotele dwóch wokantów (pp. Leszczyński i Rykaczewski), którzy składają wraz z przewodniczącym komplet Trybunału. Czwarty sędzia „niemy" zasiada jako zapasowy, na wypadek, gdyby którykolwiek z wokantów nie mógł brać dalej udziału w rozprawie.

NOWY ROK NA ZAMKU.



W dniu 1 stycznia P. Prezydent Rzltej przyjmowa na Zamku warszawskim noworoczne życzenia, któr kolejno składali mu członkowie domu cywilnego i wo skowego, protokołu dyplomatycznego, przedstawiciel Rządu, Sejmu i Senatu i innych najwyższych urzędów państwowych. W południe w sali rycerskiej zgromadzil się członkowie korpusu dyplomatycznego, pod przewodnictwem nuncjusza papieskiego Msg. Marmaggi'ego który do P. Prezydenta wygłosił powitalne przemówienie, dają w niem wyraz nadziei, że chwilowe trudności jakie nękają cały świat zostaną szczęśliwie przezwyciężone, jeżeli narody rozbroją się moralnie i nastąpi powszechne panowanie pokoju.

„Narody chcą, żyć, pracować nawet mil wać się w jemnie: czują więcej niż kiedykolwiek, że potrzebu jedne drugich i nic innego nie pragną, jak po brat sku uścisnąć sobie dłonie w imię Boże i w imię ludzkości. Takie są bezwątpienia i Pańskie uczucia P. Prezydencie i takie dążenie Pańskiego wielkiego narodu, któ ry z natury swej jest skłonny do pracy na rzecz pokoju do postępu i do szlachetnej dobroci w pojęciu Boskiem i ludzkiem. — Temi słowami zakończył nuncjusz Marmaggi swoje przemówienia.

W odpowiedzi Msg. Marmaggi wygłosił przemówienie P. Prezydent Rzpltej, mówiąc „że symboliczna data noworoczna wznawia we wszystkich sercach nadzieje lepszego jutra".

Przyjęcia noworoczne na Zamku odbywają się wedle surowego ceremonjału, przepisanego przez protokół dyplomatyczny. Ambasadorzy i posłowie mocarstw akredytowanych w Warszawie jawią się w swoich wspaniałych paradnych mundurach kapiących od złota i srebra, strojnych we wszystkie ordery, członkowie rządu we frakach.

O oznaczonej godzinie P. Prezydent Rzpltej wchodz do sali w otoczeniu członków Rządu, wówczas wysu się na czoło korpusu dyplomatycznego jego dziekan i czytuje przemówienie, które już poprzednio było poda do wiadomości protokołu dyplomatycznego.

Sala rycerska, w której odbywa się przyjęcie j jedną z najwspanialszych na Zamku warszawskim, i że współzawodniczyć i wytrzymać porównanie z najg śniejszemi rezydencjami europejskiemi.

Obok: P. Prezydent R. P. przyjmuje na Zamku życ nia noworoczne. Na zdjęciu P. Prezydent (x) w otocze członków korpusu dyplomatycznego. Widoczni: nunc apost. msgr. Marmaggi (1), premjer Prystor (2), mini Zaleski (3), ambasador Francji Laroche (4), poseł miecki v. Moltke (5), poseł jugosłowiański Branko Laz wicz (6) i inni.

Poniżej: Przedstawiciele państw obcych zgromadz w jednej z sal Zamku, przed złożeniem życzeń. Widocz ambasador Francji Laroche (1), ambasador Anglji skine (2), ambasador Włoch hr. Vanutelli Rey (3), p Japonji Kawai (4) i inni.





Moment wygłaszania przemówienia przez J. E. nuncjusza apostolskiego. Widoczni P. Prezydent R. P. (x), msgr. Marmaggi (1), premjer Prystor (2), min. spraw zagr. A. Zaleski (3) i inni.

WYSTAWA KANARKÓW W KRAKOWIE.



Widok na Wystawę kanarków w Krakowie. Stoją od lewej: pp. Jabłoński Adam, wiceprezes „Towarzystwa hodowli kanarków", Chudyba Jan, Suchta i Kasztelewicz Stanisław.

W dniach 1—3 stycznia b. r. odbyła się w Krakowie w gmachu przy ul. Potockiego 11 VI-ta wystawa kanarków, urządzona przez Towarzystwo Hodowli kanarków „Sport". Obowiązki sędziego sprawował p. Bochynek z Siemianowic na Śląsku. Nagrody otrzymali, w kategorji chowu własnego, medal złoty, nadany przez centralę w Poznaniu: Chudyba Jan (336 punktów), przez centralę krakowską: Wąsowicz Antoni (324), Jabłoński Adam (321), Deresiewicz Adolf (318), Mroziński Stanisław (300), Syweńki Paweł (330); medal srebrny: Mroziński Stanisław (294 i 292), Zięba Jan (279 i 210); w kategorji chowu powszechnego medal złoty: Matula Robert (309), Krajewski Jan (300), Kasztelewicz Stanisław (298), medal srebrny: Jabłoński Adam (228). Zaznaczyć należy, że sędzia premjuje zawsze nie pojedyńcze kanarki, ale komplety złożone z 4 sztuk. Każdy kanarek za śpiew otrzymuje pewną ilość punktów, przyczem rozróżnia się 9 różnych tonów, jak trele, basy, harmonję, gwizdek itd.

Wystawa cieszyła się wielkiem powodzeniem, a co dziesiąty z gości został obdarzony kanarkiem. *J. L.*

KRÓLEWNE DANCINGÓW KRAKOWSKICH.



Od kilku tygodni w wytwornym lokalu restauracji „Pavillon", plac Szczepański 3, Syndykat Dziennikarzy Krakowskich urządza co niedzielę five o'clocki, cieszące się ogromnem powodzeniem. — W ubiegłą niedzielę odbył się five o'clock inaugurujący sezon karnawałowy. Z pomiędzy zgromadzonych pięknych pań jury wybrało trzy najpiękniejsze uczestniczki zabawy. Przedstawia je właśnie niniejsza fotografja. Są to (od lewej) pp. Helena Wechslerówna, Łucja Nadachowska i Elżbieta Frydmanówna.

Wybór uroczych reprezentantek karnawałowego rozgwaru powitała licznie zgromadzona publiczność burzliwemi oklaskam. Jest to wstęp dopiero do tych wszystkich niespodzianek i urozmaiceń, jakie przygotowuje Syndykat Dziennikarzy na dalsze coniedzielne zabawy, chcąc podtrzymać ich świetną reputację, którą sobie w mieście wyrobiły. Do powodzenia tych five o'clocków, oprócz doborowego towarzystwa, przyczynia się bezsprzecznie świetna orkiestra jazzbandowa p. Pewznera i jeden z najwytworniejszych w mieście lokali, jakim jest restauracja „Pavillon".



Znana artystka filmowa Nora Ney ze swoim Pierrotem na zabawie Sylwestrowej.

SYLWESTER W STOLICY.

Warszawa, ostatniego dnia roku ubiegłego.

— Sylwester!!... Hallo!... Sylwester!!...

— Co za Sylwester, jaki tam znowu Sylwester? Kryzys panie, nie Sylwester.

— Coś pan rzekł? Kryzys? Nie znam takiego faceta!

— To ci go przedstawię. Choć pan ze mną, zobaczym, jaki tam Sylwester!

Poszli.

— — — — — — — — — —

Na ulicach Warszawy rojno, jak w dzień, na przystankach grupki pasażerów oczekują na tramwaj. Panie w balowych sukienkach, których koniuszki wyglądają z pod okryć. Błyszczące lakiery, smokingi u panów. Idą witać Nowy Rok. Jezdnią mkną auta. Mimo kryzysu, mimo ogólnego przygnębienia, jakoś tam idzie.

— No i co pan na to?

— I... tam, co za Sylwester, Kryzys panie, powiadam...

— Ano, zobaczymy dalej...

— — — — — — — — — —

Reduta Sylwestrowa. Teatr Wielki, sale, tłok, gwar, ścis[illegible] barwne kostjumy, intrygujące maseczki, toalety, fraki, serpentyny, balony, baloniki. A nad wszystkiem rzeźkie dźwięki białego mazura. Hu! Ha! Stoliki toną w powodzi barw[illegible] girland, serpentin, huk pękających butelek z szamp[illegible] Na twarzach beztroska, humor, zabawa w całej pełni. [illegible]snąć się trudno. Sylwester się udał!

— No i co pan na to?

— Hm...

— — — — — — — — — —

Adria, Oaza, Europa, Bristol, wszędzie pełno, wszędzie z humorem grzebią rok stary, z kielichem szampana witają nowy, trzydziesty drugi... Rozegrane dźwięki rumby, sk[illegible]czne fox-trotty, rozlewne tanga i wesołe walczyki zapełniają wszystkie zakamarki, wszędzie ich pełno. Warszawa bawi się, hula, szaleje. Co tam, grunt się nie przejmować. Jakoś to będzie. Daj nam Boże. Byle do wiosny. Minie kryzys, wszystk[illegible] będzie dobrze. Więc bawmy się, oj dziś, dziś!!!

— No i co pan na to?

— ...

— A widzisz pan, żeś gapa! Co tam kryzys. Dziś panie, to tak, to tylko twoje co użyjesz. Zobaczym dalej. Chodź pan!

— — — — — — — — — —

W Colosseum „Banda" grasuje, w „Cyrku" co najlepsze siły rewjowe, Halamka, Parnel, Zizi, Olsza, Bodo, Walter. Kto niema forsy na bal, czy redutę idzie tam, gdzie rozbawione gwiazdy i gwiazdory sypią humorem jak z rękawa. Tam bawią się bodaj najszersze koła społeczeństwa. Hucznemi brawami napełniają ogromną salę, cieszą się, śmieją, [illegible] do roku. Co tam nie zawsze można. Choć przy Sylwestrze.

— No widzisz pan, panie Kryzys, że nie jest ta[illegible] źle.. Chodź pan jeszcze dalej.



— — — — — — —

Godzina piąta, szósta nad ranem. Na ulicach ruch jak w południe. — Przed lokalami, gdzie w nocy odbywały się zabawy, reduty, bale — tłok. Roześmiane, rozbawione twarze, przystrojone cudacznie w kolorowe czapeczki, cylindry, balonikami u guzików, wysypują się goście sylwestrowi. Przed Oazą jakaś sympatyczna blondynka ściska serdecznie rękę posterunkowego, może się omyliła, może to szampan i jego skutki... Ale jest wesoła, humorek ma. Bo gdzieby go nie było w Noc Sylwestrową i po Nocy Sylwestrowej. Tam znowu facet we fraku z buteleczką przytulił się do latarni. Dobrze mieć czasami choć taki punkt oparcia, zwłaszcza po... Nocy Sylwestrowej. Al[illegible] naogół dobrze jest.

— No i co pan na to?

— Hm... Ale panie Sylwester, ja panu coś powiem. Omyliłem się! dobrze! Ale tego mi pan nie powiesz.. Ludzie bawią się, bo to wiesz pan Polak to tak: zastaw się, a postaw się. Niejeden tam może był dzisiaj „zastawiony", ale się bawił. Kryzys panie tego jest i..

— Eh, co pan będzie zawracał gitarę, chodź pan lepiej na wódkę...

I poszli...



Posterunkowy składający życzenia noworoczne w Noc Sylwestrową pięknej pani przed jednym z lokali rozrywkowych w Warszawie.

ZDJĘCIA AG. FOT „ŚWIATOWIDA".

Na prawo: Śmiechem i kwiatami witały panie Nowy Rok.

KRYNICA W ŚNIEGU.

Krynica — królowa uzdrowisk polskich — uległa cudownej metamorfozie.

Zimowy, niepokalanej bieli płaszcz śniegowy, okrywający perłę naszych wód, nieskończony szereg nart, sanek i jeszcze raz nart.

Gromady ludzkie, kobiety — bo nic tak nie konserwuje urody jak sport— dzieci, starcy, mężczyźni w sile wieku, suną po przepysznej białej pokrywie śnieżnej, wyrzucając w górę płatki śniegu i chłonąc pełną piersią nektar nad nektary — balsamiczne leśne powietrze. Lasy i wzgórza otaczające Krynicę huczą śmiechem i wrzawą — przejawem wracających sił żywotnych, radością życia...

Przepiękna pogoda zwabiła do Krynicy b. wielką ilość gości. Bawi w Krynicy od kilku dni p. marszałkowa Piłsudska. Bardzo licznie reprezentowany jest również w Krynicy świat polityczny i gospodarczy Polski.

Na deptaku krynickim spotkać można bardzo często naczelnych kierowników naszych największych instytucyj bankowych, prezesa Banku Polskiego p. Wróblewskiego i prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego gen. Góreckiego.

Bawi tutaj także od dłuższego czasu min. Starzyński. Przed kilkoma dniami przybył do Krynicy kierownik naszych finansów p. minister Jan Piłsudski. Niemniej licznie reprezentowany jest w Krynicy świat artystyczny i naukowy.



Góral z barankiem, rzeźba ze śniegu na deptaku w Krynicy.

tylko nadał tej uroczej miejscowości zgoła nowy, przepyszny wygląd, ale zmienił również do gruntu jej charakter.

Krynica bowiem w sezonie letnim — to przedewszystkiem ulubione uzdrowisko płci pięknej, szukającej tutaj lekarstwa na udręki duszy, ciała i serca i przeważnie znajdującej je, to królestwo Zubera i Kryniczanki. Krynica zaś w zimowej szacie — to przedewszystkiem prawie wyłącznie państwo nart, łyżew, saneczek i hokeja.

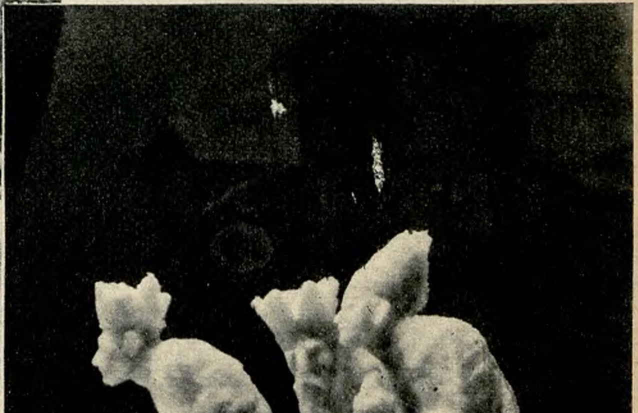
Nawet najbardziej zatwardziały hypohondryk po trzech dniach pobytu w Krynicy zapomina o swoich dolegliwościach, zuberka popija jakoś wstydliwie i ukradkiem, rozglądając się jednocześnie za czemś mocniejszem, a na kąpiel nie ma czasu, bo się umówił z piękną sąsiadką na narty. Zaś ci nieszczęśnicy, którzy całe życie chorowali na nerwy, znaleźli nagle na tę dolegliwość wspaniałe i radykalne lekarstwo — jazdę saneczkami na karkołomnym torze.

Białe sporty, narty, saneczki: hokej — cudowne rezerwaty sił żywotnych człowieka — wzięły Krynicę w swoje władanie. Od rana ciągnie na okoliczne wzgórza

Krynica w swej tegorocznej wspaniałej zimowej szacie zostanie „udostępniona" nawet tym szerokim rzeszom obywateli, którzy nie mieli możności przybycia do „królowej polskich uzdrowisk". Bawi bowiem tutaj specjalna ekspedycja filmowa, nakręcająca na tle wspaniałej panoramy krynickiej wielki 12-aktowy polski dźwiękowiec komedjowy z Ankwiczówną i Mierzejewskim w osobach głównych.

M. W.





„Gwiazda betlejemska" w Krynicy, zdążają do niej (po prawej) Trzej Królowie (rzeźba ze śniegu).



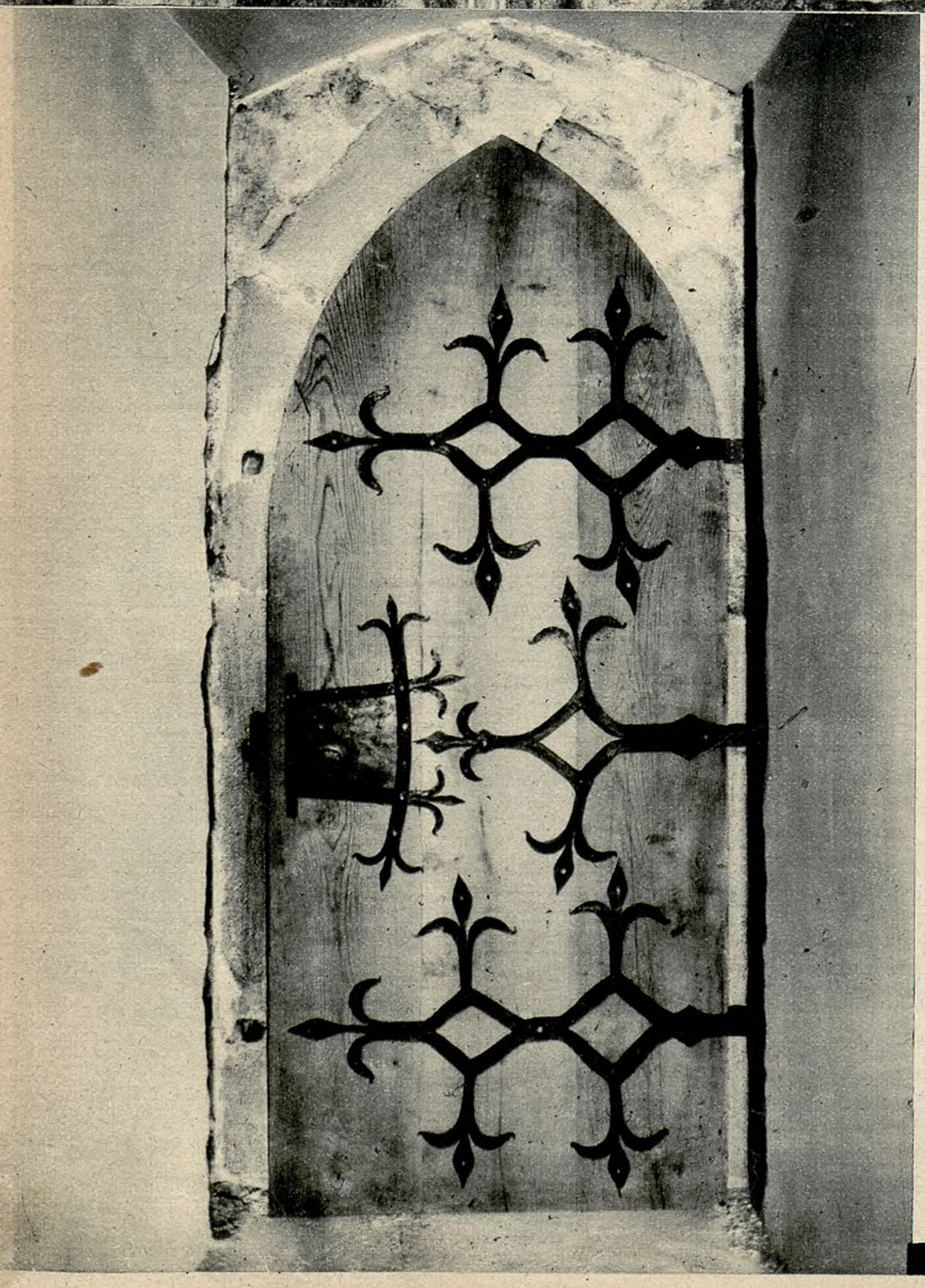
Na lewo: W tych dniach przyjechała do Krynicy P. Marszałkowa Piłsudska (na zdjęciu) z córeczkami Wandą i Jagódką na dłuższy pobyt wypoczynkowy.

Fot. Wiśniowski.

TAJEMNICA „SZCZERBCA“ WYJAŚNIONA?



Wielki książę krakowski Bolesław Kędzierzawy (1122—1173), wedle rysunku Matejki. Klejnoty jego koronne odkrył dr. M. Morelowski.



Obok: Drzwi wejściowe do dawnego skarbca koronnego na Wawelu, przez które weszli Prusacy, rabując skarbiec królewski. Ofiarą rabunku padło wtedy pięć koron królewskich, szczerozłotych, z których najważniejsza i najstarsza była sprawiona przez króla Władysława Łokietka na koronację w r. 1320.



Rękojeść Szczerbca, miecza koronacyjnego królów polskich.

W izbach jeszcze gotyckiej części Zamku Wawelskiego, w przyziemiu od strony kościoła S. Idzie, tu, gdzie niegdyś mieścił się Skarbiec Koronny, gromadzą się dziś najcenniejsze zabytki naszej przeszłości. Niema tu wprawdzie insygniów koronacyjnych, ani owych nieprzebranych skarbów, które zwłaszcza Zygmunt August tak pomnożył, że nuncjusz Ruggeri nadziwić im się nie mógł, a inny nuncjusz Bongiovani wyraził się: „Widziałem tyle klejnotów, ile w jednem miejscu zgromadzonych znaleźć nie spodziewałem się, z któremi weneckie i papieskie, które także widziałem, nie mogą iść w porównanie“. Znalazły się jednak przedmioty tak cenne, jak królewska chorągiew Zygmunta Augusta, miecz i czapka przysłane Sobieskiemu przez Inocentego XI, płaszcz francuskiego orderu S. Ducha tegoż króla, dalej kosztowna broń, rzędy, zbroje, wielka chorągiew turecka i namiot z pod Wiednia, ale przedewszystkiem sławny miecz, zwany Szczerbcem. Do najcenniejszych znów ozdób Skarbca Katedry Wawelskiej należy wielki procesjonalny krzyż, ozdobiony dwoma złotemi djademami. Zabytkami temi zajął się świeżo Dr. Marjan Morelowski, który był jednym z najczynniejszych członków naszej Komisji Rewindykacyjnej w Moskwie, następnie został kustoszem zbiorów Zamku Wawelskiego, a od przeszłego roku objął obowiązki profesora Uniwersytetu w Wilnie. O ostatnich wynikach swych badań wygłosił on referat 18. XII. 1931 na posiedzeniu Komisji Historji sztuki Pol. Akad. Um., streszczony w świątecznym „Czasie“.

Kronikarz Thietmar z Morzyborza, opisujący zdobycie Kijowa przez Bolesława Chrobrego, współczesny wypadkom, nie wspomina nic o Złotej Bramie, ani o Szczerbcu, ale czyni to dopiero w niecałe 100 lat później Gallus, a o wiek późniejszy Wincenty Kadłubek dodaje, że uderzenie mieczem w bramę wyobrażało znak graniczny, a zarazem objęcie miasta w lenno. Opowiadanie o mieczu Chrobrego upiększyła legenda, podobnie jak o mieczach Zygfryda i Rolanda. — Miecz ten miał wręczyć Chrobremu anioł, który nie opuszczał go w czasie wyprawy kijowskiej i dopomagał do pokonania nieprzyjaciół Polski. Wiadomo, że już w sześć lat po śmierci Chrobrego, jeszcze za życia Mieszka II, królewskie insygnia, a z niemi niezawodnie i ten miecz, który służył Chrobremu do koronacji, wpadły w ręce zbuntowanego Bezpryma, który odesłał je w r. 1031 cesarzowi Konradowi na znak poddaństwa. Gallus podaje, że Bolesław Śmiały, zdobywając po raz drugi po Chrobrym Kijów, za jego przykładem uderzył mieczem w Złotą Bramę. Za Bolesława Krzywoustego ukazuje się miecz zwany Żórawiem, którym książę posługiwał się w wyprawie na Pomorze. „Szczyrzbek“ wymienia po raz pierwszy autor Kroniki Wielkopolskiej w latach 1350—1395, o Szczerbcu mówi Długosz i wszystkie inwentarze Skarbca Koronnego aż do końca XVIII wieku. Na mocy połączenia tradycji, miecz używany na znak władzy przez książąt krakowskich, a od koronacji Łokietka w Krakowie w r. 1320, przez wszystkich królów aż do Stanisława Augusta, nazywano Szczerbcem. Wedle wywodów Dr. Morelowskiego czas powstania tego Szczerbca wypada na połowę XII wieku, co potwierdzają badania rodzaju umieszczonych na nim napisów, przeprowadzone przez prof. dr. W. Semkowicza. Właściwości stylowe wykazują na wykonanie w Kolonji albo Akwizgranie, jak i na wpływy walońskie, nie zaś na krzyżackie pochodzenie, jak to do niedawna twierdzono. Później dodany na rękojeści na nałożonej blaszce napis, dziś już nie istniejący, wymienia księcia Bolesława, niezawodnie Bolesława Kędzierzawego, dzielnego syna Bolesława Krzywoustego. Tak na rękojeści z bronzu, jak i na jelcach powtarzają się wykonane w czerni znaki czterech Ewangelistów, co wyjaśnia się nie brakiem pomysłowości u twórcy, ale odmienną ręką, zapewne nieco późniejszą, która wykonała jelce i guz na zakończeniu rączki. Dokładny rysunek Szczerbca, sporządzony po koronacji Stanisława Augusta, a odnaleziony w zbiorze rysunków, który należał do tego króla, wskazuje na tożsamość z naszym mieczem. W r. 1817 Szczerbiec był w posiadaniu księcia Łabanowa-Rostowskiego, co wyklucza wszelką możliwość falsyfikatu, gdyż w początku XIX wieku, gdy wszechwładnie panował styl empire, nikt by nie zdołał tak doskonale oddać osobliwych właściwości stylu romańskiego. Od późniejszego właściciela Bazylewskiego zakupiono Szczerbiec, wraz z całemi jego zbiorami, do carskiego Ermitaża do Petersburga. Sowiety w pokoju w Rydze zobowiązały się do zwrotu jedynie rzeczy niepewnie z Polski wywiezionych, a nie zakupionych, więc tylko dzięki staraniom naszej Komisji, drogą zamiany za inne przedmioty, odzyskano tę niesłychanie cenną pamiątkę.

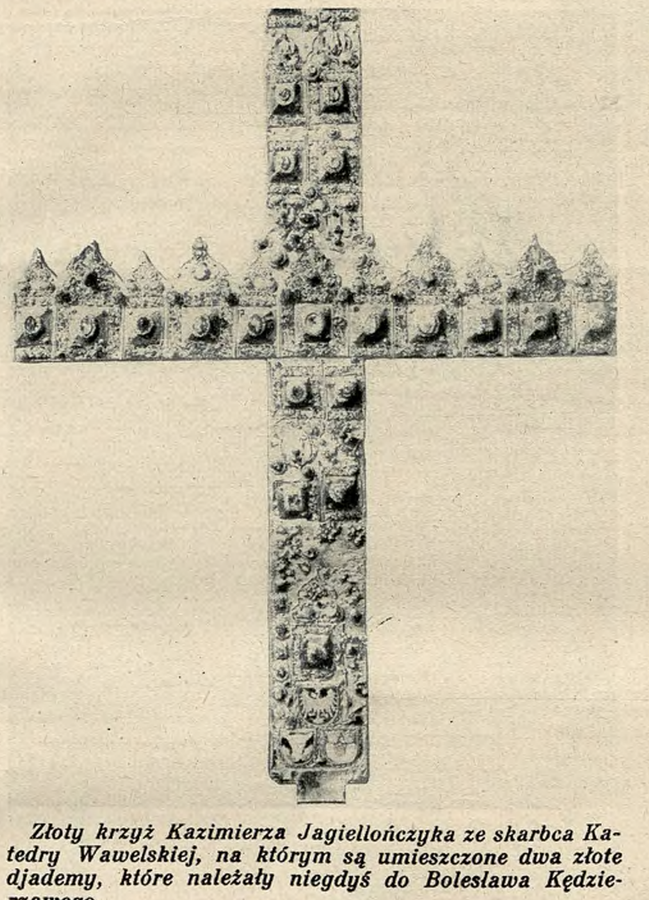
Wspomniany krzyż procesjonalny w Skarbcu katedralnym ma wnętrze drewniane, w całości powleczone złotą blachą, z nałożonemi cząstkami dwóch złotych djademów, niesłychanie wytwornej roboty, z ozdobami niellą i nader licznemi drogiemi kamieniami, przyczem ramię poprzeczne krzyża zachowało nawet kształt sterczyn djademu. U dołu dodany jest Orzeł polski, herb Półkozic i Trzy Korony Kapituły krakowskiej. W pierwszym dokładnym inwentarzu Katedry z r. 1563 krzyż ten opisany jest szczegółowo, ale bez podania w jaki sposób się tu dostał, gdy w inwentarzu z r. 1620 wymieniony jest Kazimierz Jagiellończyk jako ofiarodawca, za którego panowania był właśnie krakowskim biskupem Jan Półkozic Rzeszowski w latach 1472—88. A zatem umieszczono tu herby króla, ówczesnego biskupa, jak i Kapituły Katedry, dla której dar ten został złożony. W r. 1620 krzyż określony jest jako ruski, jak to nieraz oznaczano u nas przedmioty starożytne, bez względu na ich pochodzenie, więc powstało mniemanie, jakoby był zrobiony z koron ruskich, które dostały się w posiadanie Kazimierza Wielkiego. W katedrze w Płocku na srebrnym relikwiarzu w kształcie popiersia, zawierającym głowę S. Zygmunta, znajduje się djadem zupełnie podobny do owych z krakowskiego krzyża, pochodzący z tego samego, albo niewiele tylko późniejszego czasu. Wedle dawniejszych badań uważano te djademy za zabytki z początków XIII wieku, gdy Dr. Morelowski udowodnił, że są one jeszcze w stylu romańskim, z połowy, czy też z trzeciej ćwierci XII wieku, a wyszły z pracowni sławnego mistrza Godfryda de Claire, albo jego towarzysza niewiadomego nazwiska, znanego pod nazwą twórcy ołtarzyka ze Stavelot. Byli to złotnicy walońscy, czyli wedle dzisiejszego określenia, południowo-belgijscy. Związki Polski z ich ojczyzną były nader żywe w wiekach średnich, gdyż stamtąd przybywało do nas wielu zakonników, a w czasie, którym się zajmujemy, biskupem płockim był Aleksander z Malonne, rodem z djecezji Liège. Srebrna okładka Ewangeliarza księżnej Anastazji, domniemanej żony Bolesława Kędzierzawego, niedawno odzyskana z Rosji, a pochodząca z Płocka, jest właśnie z czasów tego biskupa, a stylem zbliża się do djademów i wskazuje na tegosamego twórcę. Dr. Morelowski łączy zatem djademy i Szczerbiec z osobą Bolesława Kędzierzawego, który jako senior na książęcej stolicy krakowskiej, spadkobierca tradycji królewskich i czynów swego ojca, bojownik o niezawisłość Polski od Niemiec, postarał się o insygnia godne swego stanowiska. Miecz więcej od innych ozdobny, nosił przed naszymi udzielnymi książętami miecznik, a kiedy poszczególne księstwa zespoliły się w całość, pozostali miecznicy w województwach i ziemiach, spełniający swą czynność w razie przybycia króla. Król miał nadto swego miecznika wielkiego koronnego jak i litewskiego. Doskonały stan zachowania Szczerbca wskazuje, że wcześnie już złożono go w Skarbcu Koronnym i używano tylko do koronacji. Djademów odmiennej formy od koron królewskich, zazwyczaj niższych od nich i o większej ilości sterczyn, używali książęta większych dzielnic, nakładając na swą książęcą czapkę tak, by tworzyły otok dolny. Rozumie się, że im potężniejszy był książę, tem więcej starał się swój djadem upodobnić do korony, a do takich mógł należeć i nasz Kędzierzawy.

Powstało podanie, w które wielu i dziś wierzy, że królewskie korony polskie uwiózł potajemnie ze Skarbca w r. 1795 do Włodzimierza na Wołyniu prowincjał Kapucynów z Krakowa, przed samem wkroczeniem Prusaków. Zasłużony badacz naszych zabytków Adam Wolański wykazał, że wyjazd prowincjała na zapowiedzianą już przedtem kapitułę, czyli narady przełożonych klasztornych do Włodzimierza, dał powód do tego podania. Naród wolał raczej wierzyć w możliwość ocalenia znaków naszej państwowości, niż pogodzić się z myślą zagarnięcia ich przez zaborców. Dziś możemy z całą pewnością, na mocy źródeł historycznych przyjąć za pewnik, że niestety Skarbiec Koronny zabrali z Wawelu Prusacy i że podobnie jak własne skarby, stopili go po bitwie pod Jeną.

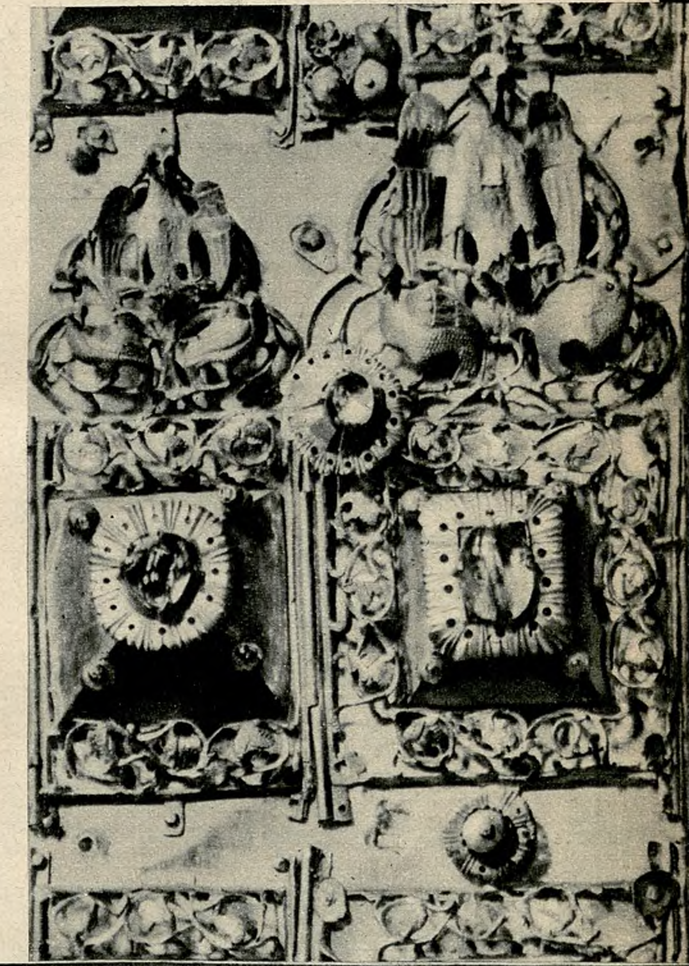
Uległy tedy zniszczeniu insygnia koronacyjne naszych królów, a pozostały insygnia grobowe w królewskich sarkofagach, których wierne podobizny oglądać można w Skarbcu Katedry, a nadto, jak widzimy, zachowały się książęce djademy, znaki usiłowań zwierzchności nad wszystkiemi ziemiami polskiemi i niezawisłości od Niemiec, a ocalały dzięki zwyczajowi oddawania kosztowności do kościołów. Jak to było we zwyczaju, djademem uwieńczono relikwiarz świętego księcia, mianowicie Zygmunta, a dwa inne djademy przytwierdzono na krzyżu, tym znaku panowania Chrystusa nad światem.

Po zmartwychwstaniu Polski znaleźli się tacy, którzy chcieli zedrzeć koronę z naszego Orła, tę koronę, która od Chrobrego do Łokietka była treścią wszystkich wielkich poczynań, tę koronę, która ozdobiła czoło Jagiełły i zjednoczyła dwa narody. Jednak zdrowy duch narodowy nie pozwolił naruszyć tego znaku, bez względu na formę naszych rządów.

Ks. Dr. Tadeusz Kruszyński.

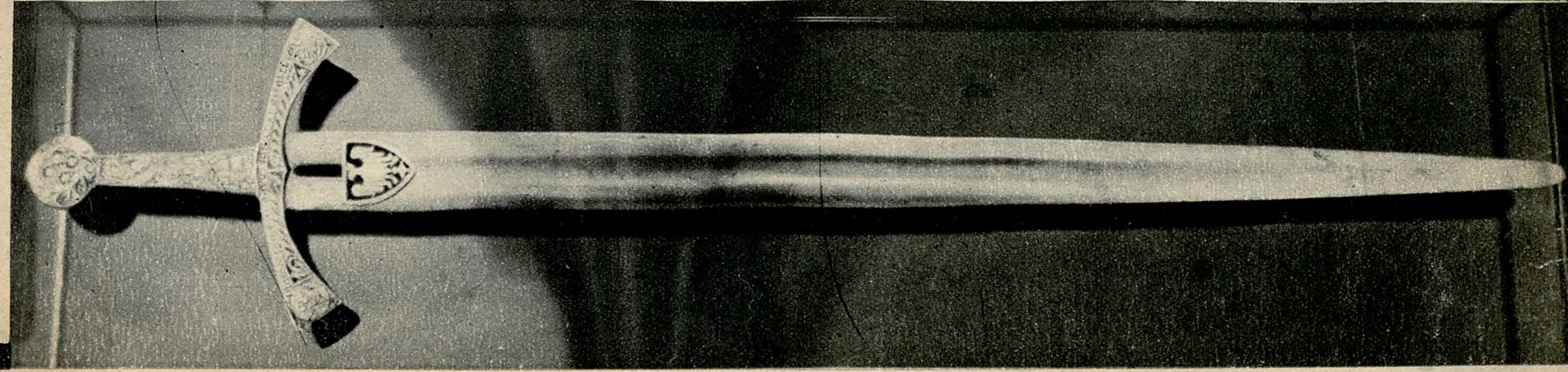


Złoty krzyż Kazimierza Jagiellończyka ze skarbca Katedry Wawelskiej, na którym są umieszczone dwa złote djademy, które należały niegdyś do Bolesława Kędzierzawego.



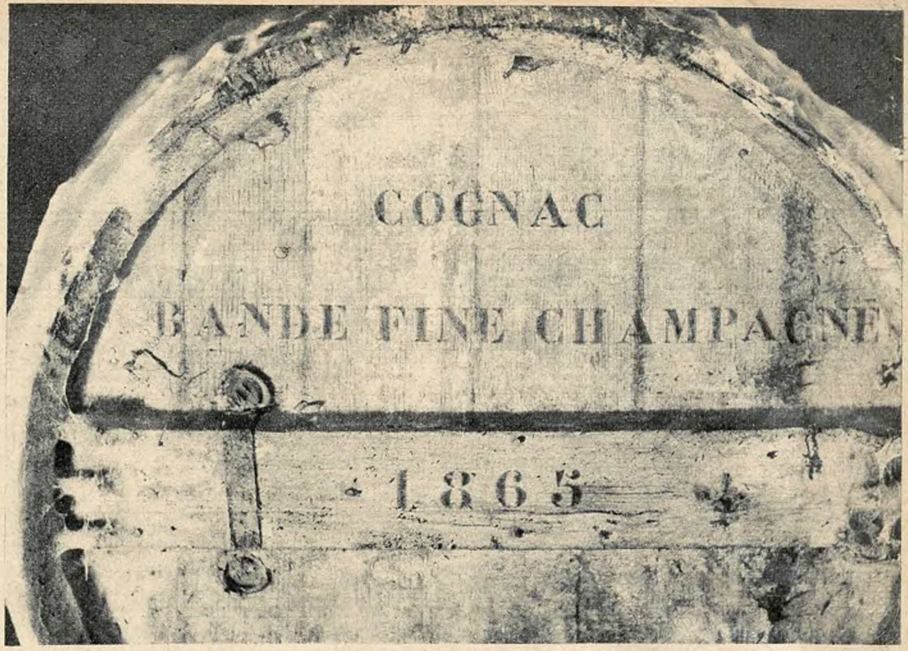
Obok: Fragment krzyża Kazimierza Jagiellończyka w skarbcu Katedry Wawelskiej, na którym dokładnie widać części djademu złotego Bolesława Kędzierzawego.

Poniżej: Miecz-Szczerbiec, największa relikwja narodu polskiego w skarbcu wawelskim.



ROZMAITOŚCI.

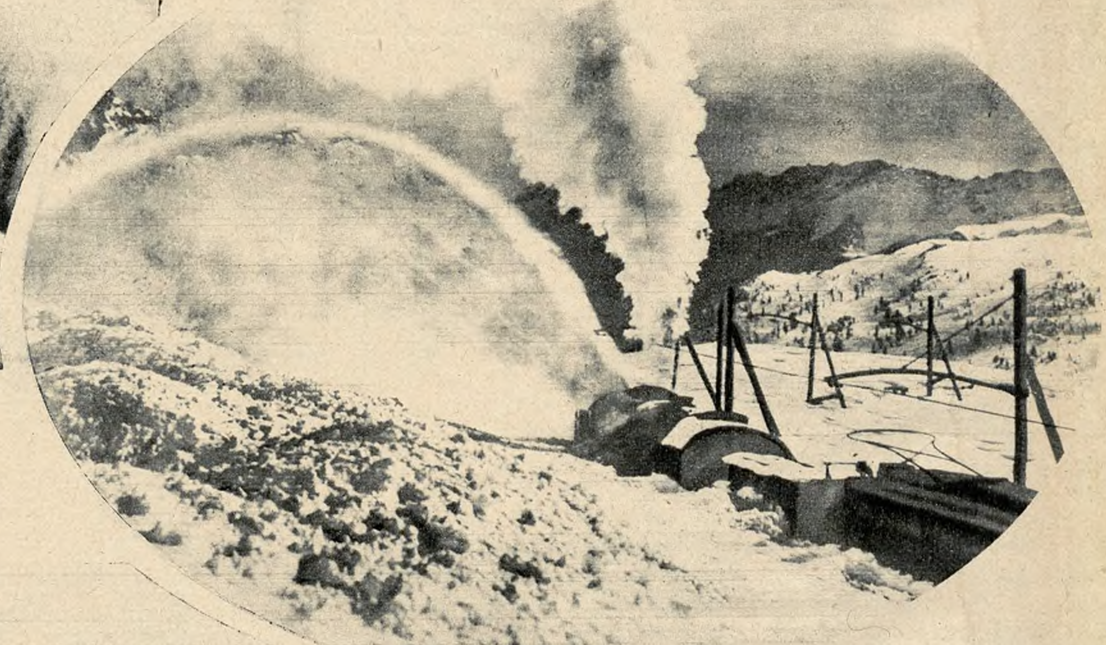




BEZCENNA BECZKA. Pośród trunków ogromnem powodzeniem cieszy się koniak. Jest to alkohol z pewnych gatunków wina. Ojczyzną jego jest Francja, a ściślej biorąc, Cognac, miasto okręgowe w departamencie i nad rzeką Charente, od którego bierze nazwę. Specjalne ustawy regulują we Francji produkcję koniaku, który stanowi ważny towar eksportowy tego kraju. Stary koniak należy do trunków bardzo drogich, niedostępnych dla kieszeni zwykłego śmiertelnika. Zdjęcie nasze przedstawia beczkę z bezcennym koniakiem z r. 1865 z jednej z piwnic w Cognac. Service General de la Presse.

W owalu: **WALKA ZE ŚNIEGIEM.** Opady śnieżne utrudniają bardzo w zimie komunikację kolejową w Alpach na pograniczu Włoch, Szwajcarji i Austrji. Odbywać się ona może tylko po uprzedniem uprzątnięciu śniegu zapomocą specjalnych pługów parowych. Zdjęcie nasze przedstawia taki pług, poruszający się na przestrzeni pomiędzy Sant Moritz w Szwajcarji a Tirano we Włoszech.

Associated Press.



Z GALERJI MUZYKÓW PODHALAŃSKICH. Podhale słynęło zawsze z muzyków, wśród których nieśmiertelną sławę zdobyli górale Sabała i Bartuś Olbrochta. Obecnie na pierwsze miejsce wśród nich wybijają się Stanisław Mróz z Poronina, ostatni kobziarz Podhala i Michał Piksa z Łącka (na zdjęciu), niezrównany mistrz w grze na harmonji i listku. Niedawno temu Piksa koncertował w Radju krakowskiem i produkcjami swoimi wywołał zachwyt wśród słuchaczy. Gra bowiem przepięknie stare melodje góralskie.





PO POLOWANIU NA LWY. Lwy w ostatnich czasach zostały w Afryce do tego stopnia wytępione, że władze angielskie myślą o ich zupełnej ochronie, a ks. Walji powołał nawet do życia specjalne towarzystwo dla opieki nad tem królewskiem zwierzęciem. Najwięcej lwów trafia się jeszcze obecnie w Tanganice, wyżynnej krainie, leżącej w Afryce wschodnio-brytyjskiej. Tam też poluje się na lwy, płacąc grube sumy za odstrzał. Nie odstrasza to nemrodów, którzy chętnie udają się tam, aby zaznać silnych wrażeń. Zdjęcie przedstawia transport zabitych na polowaniu lwów. Wide-World Photos — Paris.

Na prawo: **NAJMŁODSZY LOTNIK.** Ten szesnasto-miesięczny bobas jest synem małżonków Hartung (St. Zjedn. Am. półn.), którzy są zapalonymi lotnikami i odbywają częste podróże samolotem, biorąc ze sobą zawsze swojego synka. Dziecku jednakże nie uśmiechają się widocznie te podróże, bo z płaczem wsiada do aeroplanu. The New York Times.

Joanna d' Arc — w tańcu.



Na horyzoncie Paryża ukazała się ostatnio nowa gwiazda taneczna Alanowa (na zdjęciach), interpretatorka dzieł muzycznych. — Popisowym jej tańcem jest tragedja Joanny d' Arc.



Na horyzoncie horeograficznym powstała nowa gwiazda. Konsekrował ją w tych dniach Paryż na wieczorze, urządzonym w wielkiej sali teatru des Champs Elysees.

Nowa interpretacja tańca, bogata w plastyczne walory, pełna głębokiego wyrazu, łącząca wirtuozostwo ruchu i gestu z poezją natchnienia. Rzeźba w ruchu — i melodja zaklęta w formę. Uczucia najbardziej osobiste, własne, nienazwane — ujawnione nagle niby błyskawica — w przechyleniu postaci, w wygięciu rąk, dostrzeżone przez widza, a może tylko przez niego odczute, narzucone mu przez wybitną, oryginalną indywidualność artystki.

Taką wydała się nam — Alanowa, Angielka z pochodzenia, która dzieciństwo spędziła w Rosji, zapoznała się ze sztuką Djagilewa i uczyła się u Wieckmana. Talent jej kształtował się czerpiąc z bogatych źródeł, które się stały jej rodzime. Jest w niej słowiański rozmach, bujność i melancholja i jednocześnie delikatny, nieuchwytny, trochę zimny urok cór północy...

Repertuar Alanowy składa się z tańców hiszpańskich, stylizowanych, które odniosły wielki triumf w Hiszpanji, z interpretacyj plastycznych muzyki współczesnej. Odtwarza z równem mistrzostwem Debussy'ego jak muzykę rosyjską lub angielską.

Nie pierwszym z trzech wieczorów, które poświęciła Paryżowi i na których oklaskiwano ją w interpretacji dzieł muzycznych Debussy'ego, Ravel'a, Medtner'a, Hindemith'a itd., Alanowa kreowała niezwykle śmiały taniec — tragedję: Joannę d:Arc!

Z załączonych fotografij wnioskować możemy, na jak wysokim poziomie artyzmu i natchnienia artystka stanęła. Jaką ewolucję duchową, jakie poszczególne etapy od marzenia i mistycznych uniesień do heroicznego czynu i tragicznej ofiary jej taniec wyobraża.

Joanna d'Aarc ukazuje się nam w szacie powłóczystej, w której tonie jej wiotka postać, — to okres przygotowania, ukrytego życia. Ale z chwilą, gdy usłyszy głosy z nieba, nawołujące ją do czynu, do wybawienia Francji, szata jej spada, ukazuje się pod nią złocista łuska pancerza, widomy znak jej misji. U szyi zaledwie dostrzegalny czerwieni się rąbek purpurowej wstążki.

Heroiczny czyn jest dokonany z bohaterskiem zaparciem się siebie. Francja wygnała wroga z licznych miast, koronowała króla. A Joanna d'Arc?...

Nad nią zawisła groza ofiary. Purpurowa wstążka rozwija się nagle w szarfę, w płaszcz, który ją owinie jak płomienny stos. Coraz bardziej, coraz wyżej, coraz szczelniej ogarniają ją płomienie szalonym odśrodkowym ruchem — nieubłaganym tańcem ognia! Spłonęła!

Tylko talent Alanowy mógł pokusić się o odtworzenie tego „misterjum". Tylko jej uroda, przez którą, jak przez alabastrową lampę prześwieca promień mistyczny, mógł dać nam złudzenie prawdy, wysokie wzruszenie artystyczne.

— To jakby teatr z jednym tylko artystą — powiedział o jej Joannie d'Arc jeden ze znanych francuskich krytyków. Liza Duncan, obecna na pierwszym recytalu, wróży nowej gwieździe wielką przyszłość.

Sztuka nasza, zachodnia, znalazła dla skarbów swoich tradycyj i natchnień — genjalną realizatorkę.

Rose de Paris.

NA FRONCIE MANDŻURSKIM.



doskonale, że mocarstwa europejskie i St. Zjedn. Ameryki wobec trudności wewnętrznych są niezdolne do zbrojnej interwencji i muszą zadowonić się tylko papierowemi protestami.

Postępująca ciągle naprzód armja japońska nie natrafia nigdzie na poważniejszy opór. Co więcej, Chińczycy w ostatnim czasie ewakuowali całą Mandżurję, uciekając poza obręb wielkiego muru. Czynią to zaś dlatego, ponieważ nie chcą, aby nieprzyjaciel miał pozór do atakowania właściwego terytorjum Chin, wyszukując sobie jakiekolwiek preteksty.

Regularna armja chińska jest więc w odwrocie, natomiast w Mandżurji grasują luźne watahy, nie mające na celu żadnych zadań strategicznych, tylko rabunek. Niejednokrotnie są to oddziały ochotnicze, organizowane głównie przez młodzież akademicką, w których szeregach nie brak i młodych dziewcząt. Partyzanci ci, miłujący fanatycznie swoją ojczyznę, starają się niepokoić armję japońską i nękać ją drobnemi utarczkami — na szali wypadków jednak wiele nie zaważą.

Najsilniejsze oddziały partyzantów znajdują się w okolicy Siminfua.

Klęski, ponoszone w Mandżurji, zjednoczyły Chiny, powodując zgodę pomiędzy rządem kantońskim a nankińskim. Także t. zw. „generał chrześcijański" Fengiuhsiang, który ostatnio wycofał się z życia politycznego, obecnie ukazał się znowu na widowni, przystępując do tworzenia armji.

Czy to jednak co pomoże, można wątpić. Los Mandżurji jest, zdaje się, przypieczętowany.



Japońskie patrole wywiadowcze z psami. Wide-World Photos — Paris.

Na lewo: Na terenie mandżurskim szerzy się w zastraszający sposób bandytyzm. Tak przynajmniej twierdzą źródła japońskie, traktując jako bandytów luźne oddziały chińskie, działające na własną rękę. Bandyci tacy, schwytani z bronią w ręku bywają bez sądu rozstrzelani. Na zdjęciu dwóch „bandytów" chińskich, prowadzonych na egzekucję. Scherl — Berlin.

W kole: Naczelnym komendantem okupowanych obszarów Mandżurji został zamianowany b. japoński minister spraw wojskowych gen. Minami (na zdjęciu) z pełnomocnictwami dyktatorskiemi.



Na froncie mandżurskim panował przez jakiś czas spokój. Stało się to dzięki interwencji Ligi Narodów, która na teren ten wysłała swoją komisję, która w ciągu kilku miesięcy ma złożyć sprawozdanie i przedstawić wnioski. Jakiekolwiek jednak będą one, niema mowy, aby Japończycy opuścili zajęte terytorja. Wiedzą oni bowiem

WIEŚCI Z KRAJU.

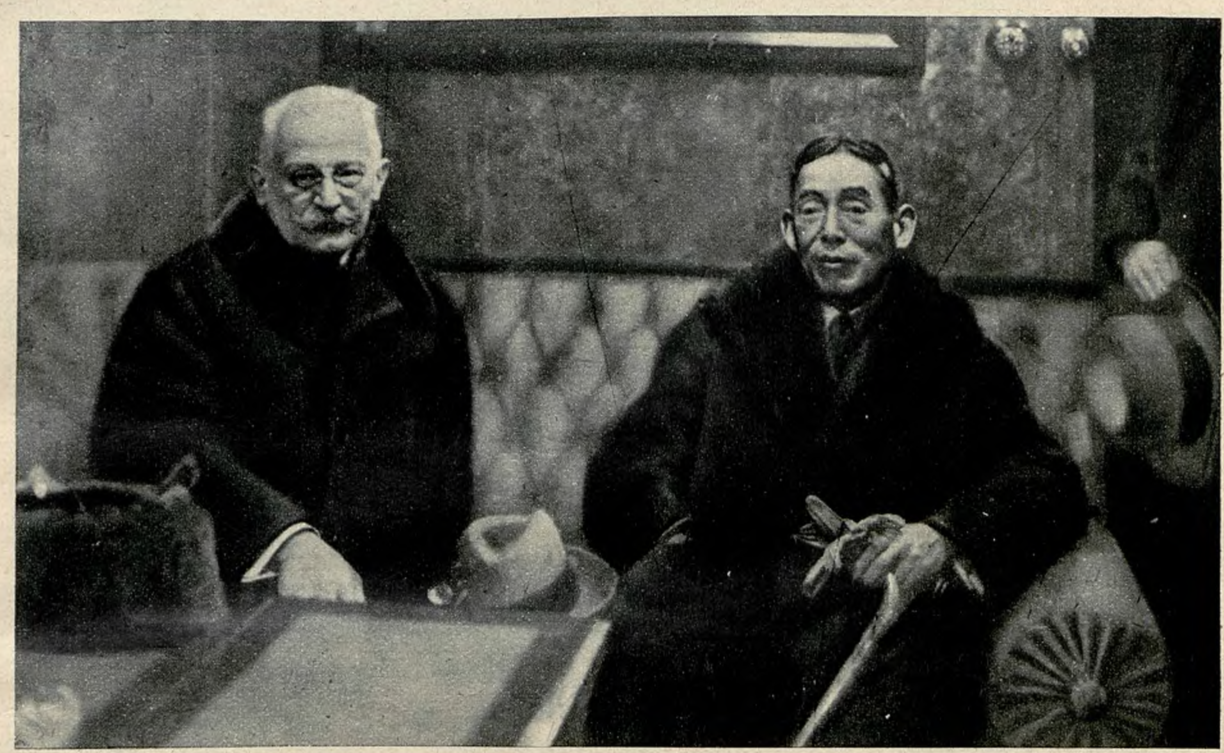


Obok: **Choinka dla dziatwy francuskiej w Warszawie.** W tych dniach odbyła się staraniem kolonji francuskiej w Warszawie w salach Hotelu Europejskiego choinka dla dziatwy. W uroczystościach tych wziął udział p. ambasador Francji Laroche (x) z małżonką.



Polka prababką króla włoskiego. W jednym z ostatnich numerów, reprodukowaliśmy portret Graffa, przedstawiający ks. Karola Kurlandzkiego z małżonką Franciszką Krasińską i córką Marją Krystyną (na zdjęciu). Ta ostatnia, poślubiwszy ks. Carignano, została matką Karola Alberta, późniejszego króla Sardynji i Piemontu. Jest więc prababką obecnego monarchy włoskiego. Cenny ten portret, który P. Prezydent Rzpltej ofiarował królowi włoskiemu, został nabyty w znanym antykwarjacie p. Studzińskiego.

Poniżej: **Japoński minister spraw zagranicznych w Warszawie.** Przed kilku dniami przejeżdżał przez Warszawę japoński minister spraw zagr. p. Joszizawa (po prawej). W pociągu odwiedził go minister Patek, poseł polski w Moskwie. Moment ten przedstawia fotografja





Opłatek w Kasie Komunalnej w Turku (woj. łódzkie) odbył się w tych dniach w którym wziął udział starosta p. Leopold Borysławski (x).



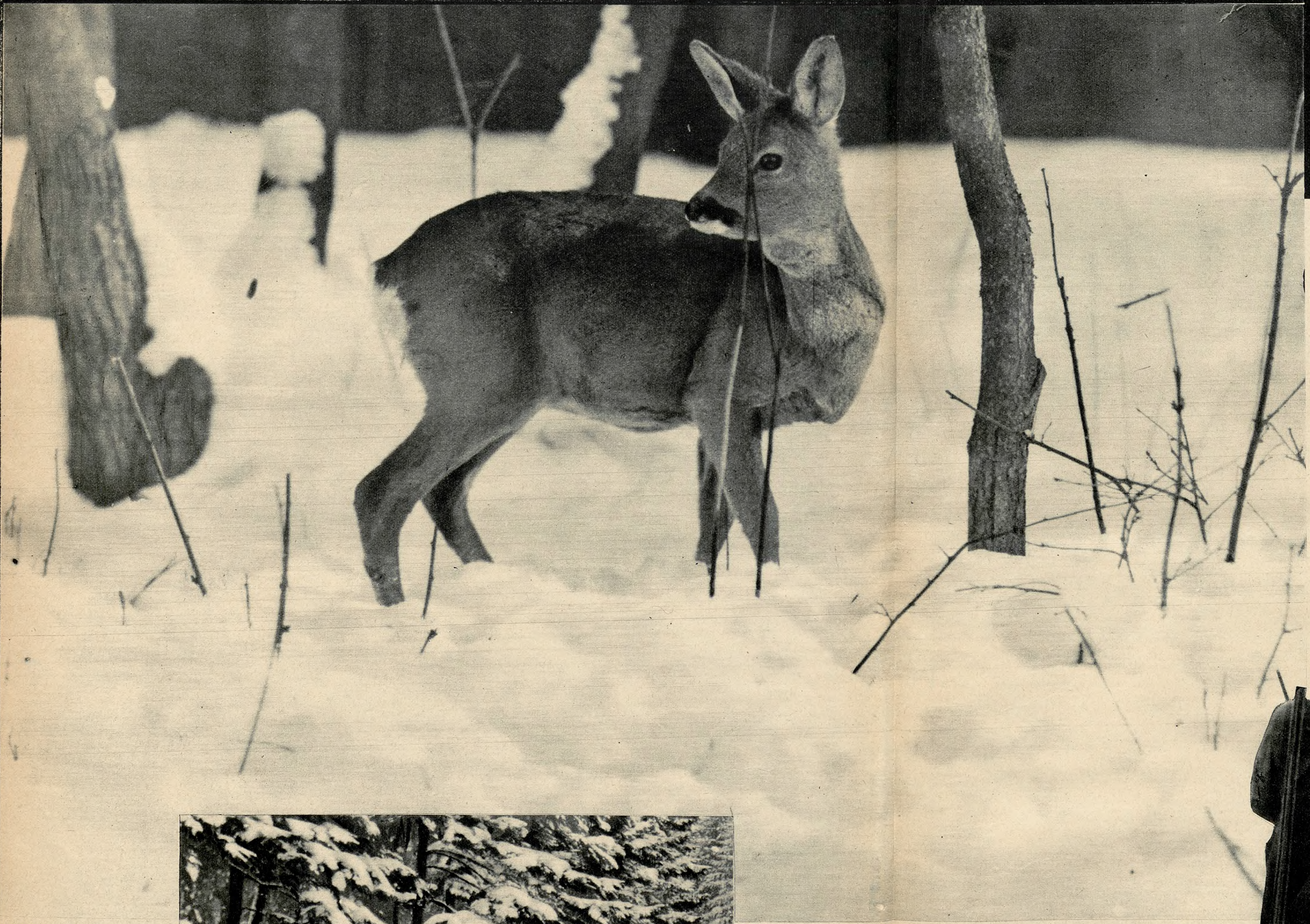


Obok: **Ku czci twórcy Esperanta.** We Lwowie urządzono w ub. tygodniu międzynarodowy koncert dla uczczenia 25-lecia T-wa „Esperanto" oraz rocznicy urodzin twórcy Esperanta dra Zamenhofa. Zdjęcie przedstawia salę w czasie koncertu.

Zgon znanej działaczki ludowej. Dnia 29. b. m. zmarła w Warszawie śp. Irena Kosmowska, b. posłanka i senatorka. Od wczesnych lat swego życia pracowała ona w b. Kongresówce w tajnych organizacjach niepodległościowych, uświadamiając lud i zyskując go do sprawy narodowej. Wybrana posłanką z Lubelszczyzny, odgrywała ważną rolę w Klubie Wyzwolenia, którego była członkinią. Śmierć jej okryła żałobą Stronnictwo Ludowe.



Z krakowskiego Parnasu. W ub tygodniu odbył się staraniem pań krak. Koła T. S. L. wieczór poezji Antoniego Waśkowskiego w sali koncertowej Bolońskiego. W wieczorze tym wzięli udział artyści teatru im. Słowackiego, Kunina, Nowakowski, Modrzewski oraz p. Jaworzyńska, Gablenz i prof. Skoczylas, który o poecie wygłosił prelekcję. Po koncercie zgotowany poecie owację kwiatową.



Najmilszem stworzeniem naszych lasów jest sarna. Wedle statystyki Ejsmonda z 1929 r. znajdowało się w Polsce w rewirach lasów państwowych ogółem 39 tysięcy sarn, z czego najwięcej w województwie pomorskiem i poznańskiem a najmniej w krakowskiem. Na zdjęciu sarenka z lasu Wolskiego pod Krakowem.

Wszystkie zdjęcia Ag. fot. „Światowida"

O b o k: Gdy spadną śniegi trudno sarnie o pożywienie, dlatego przezorni myśliwi przygotowują wówczas w specjalnych paśnikach dla niej karmę w postaci suszonych pędów różnych drzew (osiki, brzozy). Zdjęcie przedstawia fragment borów Tucholskich na Pomorzu, słynnych z obfitości sarn.



BIEDNA SARENKA

Wiosna była w owym roku niezwykle burzliwa. Z końcem kwietnia zerwał się tego dnia groźny wicher, zatrząsł konarami buków, wpadł w wąwóz i hulał po nim jak opętany. Pioruny zaczęły bić, razem z niemi lunęły z nieba całe wodospady deszczu, które odrazu stworzyły topiel, lecącą w dół bez opamiętania.

W jednej z ścian wąwozu w wykrocie głębokim, pod korzeniami dębu, leżącego jak most między obu brzegami jaru, wśród mgły i oparów deszczowych coś się ruszało.

To *Siuta*-matka schroniła się na ów dzień ważny w tej *ostoji*, prawie że w niedostępnej i wydawała na świat dwoje bliźniąt Bazia i Bazinkę.

Oba dzieciaki, nieporadne zrazu, przyniosły z sobą na świat *sukienki* szare, o małych białawych, w trzy rzędy przebiegających centkach. Łebki miały jak matka krótkie, ku przodowi zwężone, chrapki czarne i wilgotne i śliczne czarne oczy. Z lubością przyglądała im się Siuta, oblizała je gruntownie od *bark* po *talerze* i na wszelki wypadek *zastraszyła* głosem, by odpędzić „złe", któreby mogło grozić jej pieszczochom. Przez sześć tygodni karmione mlekiem matki, oba *sysaki* żyjące pod troskliwą jej opieką, gdy im już *badyle* stężały a *łyżki* nauczyły się łowić każdy podejrzany szmer, poczęły wychodzić na żerowisko za młodym owsem i żytem a dla smaku na deser przegryzały pączki drzew.

Pewnego dnia, gdy jesienne słońce ogarnęło w władanie promienne cały bór, brzmiący śpiewem leśnych ptaków, głoszących pochwałę i miłość lasom i rozłogom, cała gromada sarn sunąca przez gąszcze, ostrzeżona przez *kozła* prowodyra, przystanęła, nastawiła *łyżki* i zaczęła wietrzyć chrapami. Zbliżało się niebezpieczeństwo jakieś. Zdala odezwała się ledwie uchwytna wrzawa do dalekiego szumu podobna, łomot i chrzęst niezwykły, potem wybił się stuk kołatek i buchał od czasu do czasu niesamowity wrzask nagonki. Sarny czując niebezpieczeństwo zawróciły z miejsca i zaczęły *sadzić* w dzikim pędzie przez bór, przeskakując lekko ponad pnie zwalonych drzew. *Siuta*-matka szła na przedzie, waląc w tył na nagonkę. I już miał je objąć swemi ramionami bezpeczny gąszcz, gdy w tem zaszumiały po listowiu siekańce i *Siuta* padła w ogniu, trafiona przez zaczajonego poza miotem kłusownika.

Mijały lata pełne dzikich i płochliwych ucieczek przed wrogiem w blaskach księżyca. Po jesieni barwnej, w czasie której nasze sarny — księżniczki borów, przeciągały co dnia, jak leśne widma, podczas codziennych koncertów ptasich i muszych przez gąszcz ku swym *ostojom*, przyszła ciężka i mroźna zima. Woda co w lesie chlupotała pod badylami — podczas pochodów, ścięła się w twardą, śliską powłokę, na której ciężko było się sarnom utrzymać. Śniegi spadły kilkumetrowe, paszy zaczęło braknąć, tak że Bazia i Bazinek zeszły z gór wraz z innemi sarnami ku osadom ludzkim, bo w boru zginęłyby z głodu.

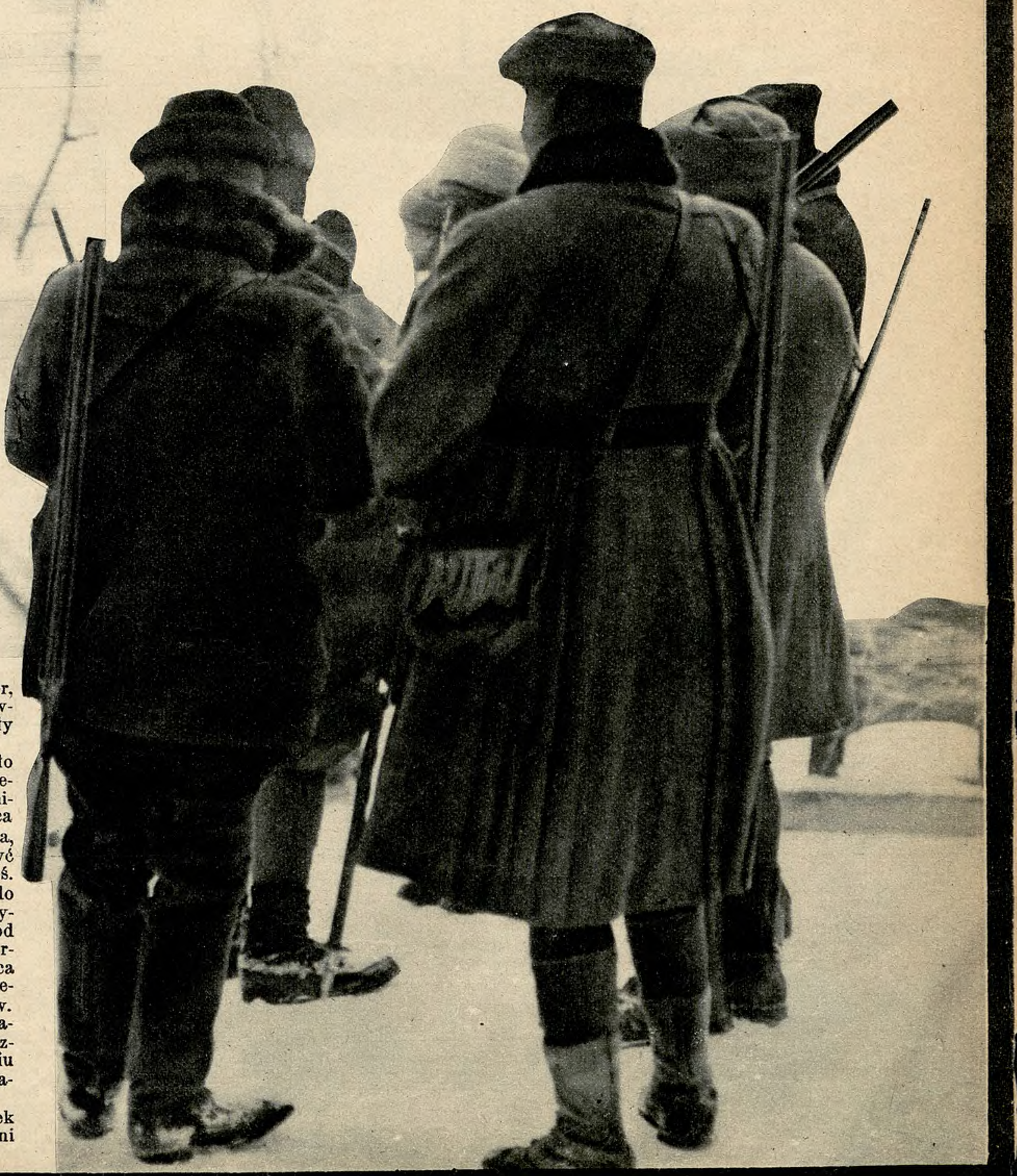
Pewnego dnia, gdy w zagajniku stanowiącym ochronę naszych dzieci leśnych zmilkły tajemnicze poszumy nocne i nastał dzień promienny, głoszący światu radość całego istnienia, część zagajnika, w którym kryły się sarny, została otoczona ludźmi, okutanemi w kożuchy i uzbrojonemi w kije. Na sznurach prowadzili psy. Zalęknione sarny nastawiły *łyżki* i wietrząc niebezpieczeństwo runęły przez mrozem ścięte błoto i ponad ukryte w śniegu pnie, w dzikim pędzie ku ocaleniu. *Sadziły* ku haliźnie niebaczne, że tam właśnie czai się najgorszy wróg - człowiek. Jakiś przerażony zając zwinął przed niemi kominka, wpadł pod krzak, gdzie przycupnął w śniegu, stadko kuropatw furknęło z ostrym łopotem skrzydeł ponad drzewa a sarny rwały w zdradziecką przestrzeń, przerażone jazgotem psów, idących za tropem.

Bazia szła pierwsza, za nią Bazinek i reszta sarn. Już się zbliżało ocalenie, już gąszcz bezpieczny. Bazinek dumny z swej siły, wysuwał się właśnie na czoło za krzakiem mijając Bazię, gdy w tem przeraźliwy świst kuli, huk i oboje przeszyci na wylot padli na białą płachtę śniegu, która zbroczona, zapisała świeżej krwi karminem historję smutnego końca dziejów tych dwojga ślicznych dzieci lasu.

Bazinek padł na miejscu — Bazia, przypadkiem tylko trafiona, zdołała jeszcze dźwignąć cudną główkę i oczyma czarnemi, pełnemi łez spojrzeć z wyrzutem niemym na swego mordercę.

Eska.

P o n i ż e j: Polowanie na sarny-siuty, jest w ciągu całego roku w Polsce z wyjątkiem Wielkopolski zakazane. Czasem tylko wydarzy się, że początkujący myśliwy przez pomyłkę weźmie sarnę za kozła i poczęstuje ją kulą. Przeoczenie takie jest jednak przez Brać św. Huberta bardzo surowo karane.



W PRACOWNI STEFANA NORBLINA.

ROZMOWA O KRYZYSIE W MALARSTWIE.

Kryzys, kryzys i jeszcze raz kryzys, wszędzie, gdzie się człowiek obróci, gdzie spojrzy, rzuca się w oczy, daje się odczuwać. Nawet taka dziedzina, jak malarstwo, które zdawaćby się mogło zawsze będzie miało swych wznawców, zawsze znajdzie nabywców — przeżywa obecnie kryzys i to bardzo poważny.

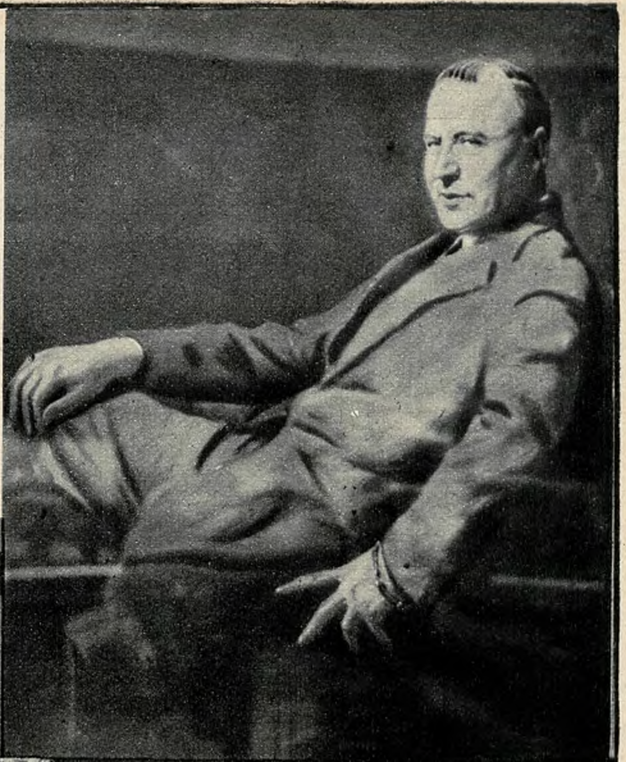
W tych dniach odwiedziliśmy znanego i cenionego artystę malarza Stefana Norblina, polskiego Laszlo. Była godzina dość wczesna, mimo to zastałem mistrza przy pracy. Siedział w swej pięknej, nowoczesnej pracowni, mieszczącej się na najwyższem piętrze domu przy ul. Mazowieckiej 1. W chwili, gdy wszedłem zajęty był właśnie projektowaniem jakiegoś plakatu. Pracownia zalana była łagodnem światłem przedostającej się przez ogromne, w dachu umieszczone okno. Biurko zarzucone tysiącem czasopism krajowych, zagranicznych. Wszędzie obrazy, rysunki, szkice. Na sztalugach ogromny portret Poli Negri. Podłoga zasłana kilku cennemi dywanami. Mistrz pracuje ubrany w kombinezon, z pędzlami i paletą w ręku. Przyjął mnie bardzo serdecznie. Rozmowa potoczyła się o tem i owem, aż zeszła na czasy obecne.

— Niech mi pan powie, co to będzie, kiedy się to wszystko skończy? — powiada Norblin.

— Cóż to i pan narzeka na ciężkie czasy — odpowiadamy — czyżby powszechny dziś kryzys zaglądnął i do pracowni malarskiej?

— Oh, proszę pana — woła Norblin — malarze przechodzą dziś kryzys większy i gorszy niż wszyscy inni, przechodzą kryzys podwójny. Z jednej strony ogólna katastrofa i zubożenie odbija się w pierwszej linji na artykule tak luksusowym, jak obrazy. Kto je dzisiaj kupuje. Proszę mi powiedzieć!

Ten jednakże stan, miejmy nadzieję kiedyś minie. Ale ci malarze, którzy zdołają nie zemrzeć z głodu do tego czasu, też nie mogą sobie wiele obiecywać, gdyż sztuka przechodzi drugi, niezależny od pierwszego kryzys, którego rezultatem jest coraz bardziej widoczny brak zainteresowania dla malarstwa sztalugowego ze strony publiczności. Ten stan rzeczy będzie prawdopodobnie się pogarszał z każdym rokiem — mówi p. Norblin.







Stefan Norblin, jeden z najwybitniejszych współczesnych portrecistów polskich w swojej pracowni w Warszawie. Fot. Binek.

U góry: Portret wicemarszałka Sejmu p. dr. Stanisława Cara. Fot. Dulewicz.

Obok: Portret p. M. de M. Fot. Dulewicz.

— A co mogło wpłynąć na to?

— Przyczyna tego, przypuszczam, leży w fakcie, że wzrok, który jak każdy inny zmysł odczuwa potrzebę zaspokojenia swego głodu, może się obecnie na każdym kroku aż przesycić. Do XX w. jedynie oryginały malarstwa mogły dawać przyjemne wrażenia wzrokowe. Dziś jednak, technika reprodukcyjna doszła do takiej perfekcji, że oglądanie oryginałów nie jest koniecznością. Czasopisma, tygodniki, a nawet pisma codzienne przynoszą ogromną masę wrażeń wzrokowych. Drugim takim żywicielem jest sztuka ulicy, u nas wprawdzie nie rozwinięta w takim stopniu, jak np. w N. Jorku, Londynie czy Berlinie gdzie afisze, reklamy itp. nahalnie wprost wciskają się w oczy.

Najgroźniejszym jednak żywicielem zwroku jest kino, które daje moc wrażeń wzrokowych, bardzo urozmaiconych i często niesłychanie ciekawych.

Trudno więc dziwić się, że dziś tylko specjalnie wyrafinowani smakosze wzrokowi szukają wykwintniejszej strawy po wystawach i salonach sztuki i przyznać należy, że rzadko chyba znajdują to, czego szukają.

— Sądzi pan więc, że malarstwo sztalugowe traci rację bytu?

— Traci najzupełniej, i to tembardziej, że nowe prądy w architekturze także nie przyczyniają się do jego rozwoju, wprost przeciwnie, zadają mu nawet poważny cios. Skłonny jestem przypuszczać, że są one rezultatem wyżej omawianych czynników. Człowiek nowoczesny, którego przez dzień cały kłują w oczy różne reklamy, ilustracje, reprodukcje, pragnie odpoczynku w domu: znajduje go, albowiem gładkie ściany, dyskretnie ukryte światła, puste pokoje dają jego oczom wytchnienie. I to upodobanie jest dla malarzy fatalne. Jeden obraz na ścianie to dziś aż nadto. Minęły te czasy, gdzie obrazy, obrazki i obrazeczki tłoczyły się poprostu jedna na drugich, a puste miejsce na ścianie spędzało sen z powiek amatora. Dziś nieliczne, już „wymierające" plemię „kolekcjonerów" też więcej na ścianie nie powiesi, niż pozwala mu zmysł estetyczny, resztę płócien trzyma... w szafie.

— Cóż więc — zdaniem pana Mistrza, mają robić ci liczni artyści malarze, którzy dotąd żyli swoją sztuką?

— Życie otworzyło malarzom inne drogi. O ile obrazy są mało komu potrzebne, o tyle sztuka potrzebna jest przedsiębiorcom i kupcom. Mało dziś jest placówek przemysłowych czy handlowych, któreby nie potrzebowały współpracy plastyka. Sztuka się spopularyzowała i nie powinna odgradzać się od życia ramkami. Tak więc w obecnych czasach malarz musi pracować, aby żyć — kończył mistrz Norblin.

Bohdan Skąpski.

SYNOWIE PUSTYNI.

Nie wiele jest ludów, któreby odegrały tak doniosłą rolę historyczną jak Arabowie. Nikomu prócz najbliższych sąsiadów nie znani, sfanatyzowani w VII w. przez Mahometa, szeroką falą wylali się z Arabji. Wojownicze i groźne ich szeregi — niosąc śmierć, zniszczenie i niewolę opanowują Syrję, Persję, Azję Środkową, wkraczają do Egiptu, mijają go szybko, opierając się po ujarzmieniu Pn. Afryki aż w Hiszpanji. W przeciwnym kierunku docierają aż do Indyj Pn.

W ślad za niebywałą ekspanzją polityczną doprowadzają na niezwykłe wyżyny sztukę i naukę. Prawie cała Hiszpanja, Pn. Afryka, ogromne obszary Bliskiego Wschodu w szerokim krain okręgu są jednym wspaniałym i monumentalnym pomnikiem kunsztownej architektury arabskiej. Rozgłos, którym cieszą się dywany, makaty, chodniki i wszelkiego rodzaju tkaniny arabskie, również na uzasadnionych opiera się podstawach.

Czas rozkwitu politycznego zbiega się z epokowym rozwojem nauki arabskiej, w szczególności zaś geografji, filozofji, medycyny, fizyki oraz matematyki. Żywym dowodem dominującego stanowiska nauk arabskich jest przejęcie całego szeregu terminów naukowych, które dotrwały naszych czasów (np. algebra, zenit, nadir, alkohol, azymut, x). Nie zapominajmy, że to właśnie arabska cyfra opanowała świat, przepędzając symbolikę rzymską dzięki temu, że każdy znak posiada wartość bezwzględną (od 0 do 9) i względną, zależną od położenia w szeregu cyfr.

Rozwój nauk i literatury pociąga za sobą ewolucję języka, który z całej grupy języków semickich wykazuje najbogatszy słownik i najdoskonalszą gramatykę.

A wszystko to dokonuje się w latach 635 do 1258 (upadek kalifatu bagdadzkiego) względnie do r. 1492, t. j. utraty Hiszpanji.

W tym samym czasie, a także i później dają się Arabowie poznać jako pierwszorzędnej wartości element penetracyjny. Bodajże pierwsi docierają do Afryki Wschodniej i Środkowej, handlując kością słoniową i niewolnikami. W podróżach swoich przenoszą szereg form gospodarczych i kulturalnych w obce strony. Im zawdzięcza Afryka przyniesienie uprawy ryżu w Azji.

Równocześnie mięszają się rasowo z ludnością podbijaną. Ich krew idzie w szeroki świat. Mają ją w swych żyłach Hiszpanie i Maurowie, oraz cała plejada ludów, plemion i szczepów, których droga skrzyżowała się choć raz jeden z historycznym szlakiem Arabów. Płynie krew arabska w świat; dociera do Meksyku, Ameryki Pd. i Środkowej, na wyspy Kanaryjskie, Filipiny i Ladrony.

Jeszcze do dnia dzisiejszego respektują arabską wyższość kulturalną ludy Azji Środkowej, świata malajskiego oraz wschodniej i środkowej Afryki.

Jakżesz skromnie na tem wielkiem tle historycznem rysuje się współczesny Arab. Są między niemi szczepy osiadłe i koczownicze, plemiona wysoce kulturalne i cywilizowane i inne, które nie dźwignęły się ponad poziom życia koczowniczego. W każdym razie dzięki specyficznym warunkom geograficznym poszczególne szczepy zachowały wyraźną odrębność.

Koczownik arabski jest uzbrojonym wojownikiem. Jego żywiołem jest walka. Czy prowadzi ją o studnię, czy o pastwisko, czy może kiedyindziej o trzodę — to nie zmienia postaci rzeczy. W okresach pokoju pędzi żywot próżniaczy, jedynie godny wojownika, ograniczając się do karmienia koni i dojenia wielbłądzic. Wypas trzody należy do pasterza-najmity. Wszystkie inne roboty spełnia kobieta.

Zasadniczą formą życia rodzinnego jest monogamja. Poligamję spotyka się u władców. Monotonji życia przeciwdziała obowiązek krwawego odwetu; można go uniknąć, płacąc pokutne. Zwyczaj arabski nakazuje jak najdalej posuniętą gościnność. Obowiązek opieki i ochrony obejmuje wszystkich, którzy ścigani schronią się pod dach właściciela domu. W stosunku do wrogów i nieprzyjaciół są Arabowie okrutni, bezlitośni i podstępni.

Strój arabski składa się z bawełnianej koszuli i z białych, względnie brunatnych narzut (burnusów). W zimie i nocą przywdziewają futra ze skórek owczych. Kobiety ubierają się nieco strojniej.

Arabowie osiadli zamieszkują domostwa gliniane, względnie kamienne, bogatsi wspaniałe pałace. Plemiona koczujące chronią się w namiotach. Pokarm jest niewyszukany. Składają się nań: mleko wielbłądzie, ryż, soczewica, daktyle, mięso koźląt i baranina.

Patrząc na spalone w wichrach pustynnych pełne wewnętrznego ognia i temperamentu białe postacie Beduinów — trudno jest pojąć, że był czas, kiedy nie kto inny — a właśnie oni — całym bez mała ówczesnym władali światem, stwarzając poprzez grozę, niedolę, mękę i ból całej niemahometańskiej „mierzwy ludzkiej" epokowe, klasyczne i trwałe wartości kulturalne.

Był czas. Był i przeszedł. Nad światłem panuje dziś kto inny. Arabji pozostało wspomnienie.

Wiktor Ormicki.



Kobiety arabskie zajęte przygotowywaniem posiłku.

Poniżej: Arabowie modlący się w okresie Ramadanu. Zaczyna on się 9. stycznia i trwa przez cały miesiąc i jest przygotowaniem do święta radości Bairamu. Zdjęcia C. Delius, Nice.



REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



PONOWNY POŻAR ZAMKU W SZTUTGARDZIE. W ub. tygodniu pożar prawie w zupełności zniszczył stary zamek w Sztutgardzie, stolicy Wirtembergji. Przed kilku dniami tlejące zgliszcza tego zamku buchnęły znowu płomieniem, dokańczając dzieła zniszczenia. Ostatni większy pożar nawiedził Sztutgard w 1902 r., a ofiarą jego padł teatr nadworny. Zdjęcie nasze przedstawia zgliszcza, pokryte powłoką lodową.







HISZPAŃSKA LOTERJA. Hiszpanie ogromnie lubią grać na loterji, to też dzień ciągnienia, który przypada w Boże Narodzenie jest oczekiwany z największą niecierpliwością w całym kraju, a z najodleglejszych zakątków udają się do Madrytu delegaci, wysyłani na koszt gromady, aby jak najprędzej dać znać o ewentualnej głównej wygranej, która wynosi miljony. Jednym z takich wybrańców fortuny przed niedawnym czasem był słynny major Franco, znany ze swoich rewolucyjnych wystąpień, który obecnie przebywa zagranicą na banicji. — Zdjęcie przedstawia tłumy zgromadzone przed gmachem loterji w Madrycie, oczekujące na listę ciągnienia. Atlantic-Photo.

W kole:

WPŁAW PRZEZ PARYŻ. Co roku w Boże Narodzenie odbywa się w Paryżu tradycyjny międzynarodowy wyścig pływacki na Sekwanie o puhar Bożego Narodzenia (Coupe de Noel). Tego roku zwycięzcą został Belge Malfait. Na zdjęciu widzimy go po prawej stronie. Service General de la Presse-Paris.

Na prawo:

ROZRUCHY W SOFJI. W stolicy Bułgarji wybuchły rozruchy studenckie, których tłem był powrót b. prezydenta ministrów Zankoffa, po dymisji na stanowisko profesora uniwersytetu w Sofji. Ponieważ wiele jego zarządzeń, jako premjera nie podobało się młodzieży, przeto urządziła ona przeciwk niemu demonstrację, do której przyłączyli się bezrobotni. Zdjęcie przedstawia policję bułgarską, rozpędzającą młodzież na ulicach Sofji. Associated Press.



BIBLJOTEKA WATYKAŃSKA W RUINIE. Wedle prowizorycznych obliczeń, wskutek katastrofy, jaka miała miejsce w Bibljotece watykańskiej, zostało uszkodzonych około 15.000 bezcennych rękopisów, inkunabułów i innych ksiąg. Strata to bardzo bolesna, gdyż Bibljoteka watykańska była warsztatem pracy dla wielu uczonych z całego świata. Z Polaków długie lata przepędził tam ś. p. Dr Jan Ptaśnik, prof. Uniwersytetu lwowskiego, znakomity znawca średniowiecza.

Associated Press.

Na lewo: **MŁODOCIANA LITERATKA ANGIELSKA.** Miss Moyra Charlton jest uczenicą liczącą zaledwie 13 lat, pomimo jednak tak młodego wieku, zdobyła już ona sławę, jako literatka Z pod pióra jej wyszło kilka romansów, opartych głównie o motywy myśliwskie („Tally Ho“ i „Patsch“). Miss Charlton uprawia bowiem z zamiłowaniem łowiectwo i jeździ doskonale na koniu. Ulubieńcem jej jest pies „Patsch“. Możeby kto spróbował przełożyć jej romanse na język polski?

Atlantic-Photo.



POGRZEB BRATA MUSSOLINIEGO. Pogrzeb Arnolda Mussoliniego, brata dyktatora Włoch i redaktora pisma „Giornale d'Italia“, który w ub. tygodniu zmarł na udar serca, zamienił się we wielką manifestację faszystów. W pogrzebie wziął udział także Mussolini, którego śmierć brata bardzo dotknęła. Na zdjęciu kondukt pogrzebowy, za trumną kroczy Il Duce.

Trampus — Paris.



DWA MILJONY ZŁOTYCH ZA NÓŻKI!

Ameryka lubi wszelkiego rodzaju rekordy. To ktoś stawia dom na 60 pięter, to buduje się największy w świecie statek powietrzny „Akron", to znowu wymyśla się pończochy koronkowe, których para kosztuje tylko 500 dolarów. W zakresie tych szałów amerykańskich ważną rolę odgrywają zakłady i ubezpieczania się. Amerykanie zakładają się przy lada okazji, a więc przy meczu bokserskim, przy wyścigu konnym, przy zawodach piłki nożnej, lub też o to, czy okręt „Mauretania" przebędzie prędzej ocean, aniżeli okręt „Bremen".

Ubezpieczenie to druga manja amerykańska. Istnieją tam ubezpieczenia nawet tak fantastyczne, jak od pogody. Jeżeli naprzykład dane towarzystwo ubezpieczeń wyda komunikat pogody pomyślny, a w ten dzień będzie właśnie lał deszcz, to płaci ono odszkodowanie ubezpieczonemu jegomościowi, który wybrał się na wycieczkę. Spekulacja na ubezpieczenie jest niezwykle rozpowszechniona w całych Stanach Zjednoczonych. Ubezpiecza się tam na wypadek utraty dobrego wyglądu, młodzieńczej cery itd. Pianiści ubezpieczają swoje ręce na olbrzymie sumy, tancerki nogi — nie słyszano jednakowoż, żeby ktoś ubezpieczał sobie głowę. Widocznie takich rzeczy w Ameryce nie ubezpieczają.

W serji takich wysoko ubezpieczonych osób figuruje tancerka Noel Francis, która uważa, że nóżki jej są tak piękne, iż warto je ubezpieczyć na bagatelną sumkę 200.000 dolarów. Sądzi ona widocznie, że należy sobie zabezpieczyć przyszłość na wypadek, gdyby została przejechana przez auto, albo wyszła zamąż. Słusznie jednakowoż powstaje obawa, ile może kosztować cała tancerka, skoro same tylko nogi szacuje sobie na 200.000 dolarów? Czy w obecnym kryzysie, który trapi Amerykę, znajdzie się bogacz, który zapłaci tak wygórowaną sumę za kilkanaście centymetrów kw. powabnej skóry?

Z. G.



Tancerka amerykańska Noel Francis, która ubezpieczyła swoje nogi na dwieście tysięcy dolarów. C. Delius, Nice.

BRUNO WINAWER.

MROWIE LUDZKIE.

Spis ludności, dokonany skrupulatnie i jednego dnia na całym świecie, dałby w rezultacie kilka cyfr bardzo groźnych. Jest nas w tej chwili na kuli ziemskiej prawie dwa miljardy, co trzy sekundy przybywa pięć osób i umiera trzy, co rok liczba mieszkańców naszego globu wzrasta o 12 do 14 miljonów. Statystycy — w porozumieniu z historykami — wyliczyli, że za czasów Newtona ludzkość składała się z 465 miljonów głów, za czasów napoleońskich z 800 miljonów, żeśmy się od pamiętnej bitwy pod Waterloo — potroili! Rachmistrze zawodowi ustalili t. zw. przyrost procentowy, wykreślili krzywe na papierze milimetrowym i opowiadają, co się stać może już po dwóch wiekach, jeżeli ludzkość tempa nie zwolni. Naszych prawnuków będzie sześć razy więcej niż nas — praojców. Grozi im głód, katastrofa, straszliwa walka o byt, o chleb, o miejsce na ziemi.

Tak mówią statystycy. Ale biologowie nie poprzestają na suchych cyfrach i kalkulacjach. Sięgają głębiej, badają sprawę inaczej. Natura — jak to powiedział na kongresie londyńskim jeden z najświetniejszych uczonych współczesnych, profesor Juljan Huxley — sama dotąd dbała o gatunki, kontrolowała ilość urodzeń i przyrost procentowy, troszczyła się o właściwe proporcje. Słaba mysz, narażona na tysiączne niebezpieczeństwa „miota" kilka razy do roku, drapieżna lwica rodzi raz na rok, a w rodzinie słoni nowy potomek zjawia się raz na trzy lata. Człowiek dzięki rozwojowi techniki, nauki, wzmógł się tak na siłach, że już prawie nie ma godnego przeciwnika w przyrodzie. Zgnębił drapieżne lwy, potężne tygrysy, straszliwe rekiny. Zaczyna walczyć skutecznie z jeszcze groźniejszymi wrogami — z mikrobami. Niektóre epidemje starliśmy z oblicza ziemi, inne zlokalizowaliśmy i trzymamy w ryzach. Higjena i bakterjologja stały dzielnie obronie noworodków, medycyna lada dzień zwalczy raka, grużlicę, a nawet sklerozę. Już dziś „nadzieja życia" jest dwa razy większa, niż dawniej.

A jednak — niektóre rasy giną, wymierają. Eskimosi nie wytrzymują zetknięcia z przybyszami, jakieś bakcyle ich dziesiątkują. Z badań dzisiejszych wynika, że to nie odwaga i męstwo hiszpańskich najeźdźców zwyciężyły ongiś dzielne plemiona amerykańskie, ale... bakcyle. Nie Kortez pobił Azteków, jak to opowiadają w romansach dla młodzieży, tylko mikroby ospy. Między jednym a drugim atakiem połowa mieszkańców obleżonego miasta umierała na epidemję. I dziś jeszcze ginie ludność wysp na oceanie Południowym, wymierają plemiona Indjan. Podobno narodom europejskim też grozi pewne niebezpieczeństwo.

Cóż mamy robić wreszcie? Na zjeździe londyńskim zabierali głos w tej sprawie najznakomitsi badacze: Huxley, Hogben, Macbride, a najpoważniejsze dzienniki grubemi czcionkami drukowały główne punkty ich przemówień.

Czyż to nie „znak czasu"? Wyciągnęliśmy uczonego z cichej pracowni i każemy mu — metodami naukowemi — rozstrzygać najżywotniejsze dla nas kwestje. Czujemy, że od wyników jego badań zależeć muszą najważniejsze decyzje, nakazy prawne i przepisy, które byt i przyszłość pokoleń zmienić mogą.

I nietylko to jedno zagadnienie traktujemy teraz „przyrodniczo". Wybór zawodu zależał dawniej od śmiesznych przypadków. Ktoś zostawał inżynierem, bo tego sobie życzył zamożny wujaszek, ktoś inny „szedł na weterynarza", bo tak się podobało bezdzietnej ciotce Barbarze. Dziś powstały na terenie Stanów Zjednoczonych, w Rosji, w Japonji, w Niemczech dziesiątki laboratorjów psychotechnicznych. Uczeni starają się wynaleźć i ułożyć w jakiś system takie próby, „testy", któreby określiły dokładnie zdolności przyrodzone kandydata. Ten nie nadaje się na szofera, bo ma zbyt małą „szybkość reakcji", ów nie zdał egzaminu na lotnika, bo przyrząd laboratoryjny wykazał, że w rozrzedzonem powietrzu traci panowanie nad nerwami. Wielkie fabryki amerykańskie przykładają wielką wagę do tego rodzaju prób. Obmyślono testy optyczne, specjalne aparaty, które mierzą i sprawdzają zdolności orjentacyjne, przytomność umysłu, pamięć i nawet... prawdomówność świadków. Powstały ciekawe studja nad „zatrzymywaniem obrazów" w oku i dzisiejsze kino wiele im zawdzięcza. Nawet sportowcom nie darowano. Głośny laureant nagrody Nobla, A. V. Hill, ogłasza ciekawe dane o „maszynie ludzkiej", zebrane na stadjonach i boiskach, każe młodym „lekko-atletom" przebiegać obok magnesów i aparatów samopiszących i rejestruje ich wyczyny — inaczej, niż gazety sportowe.

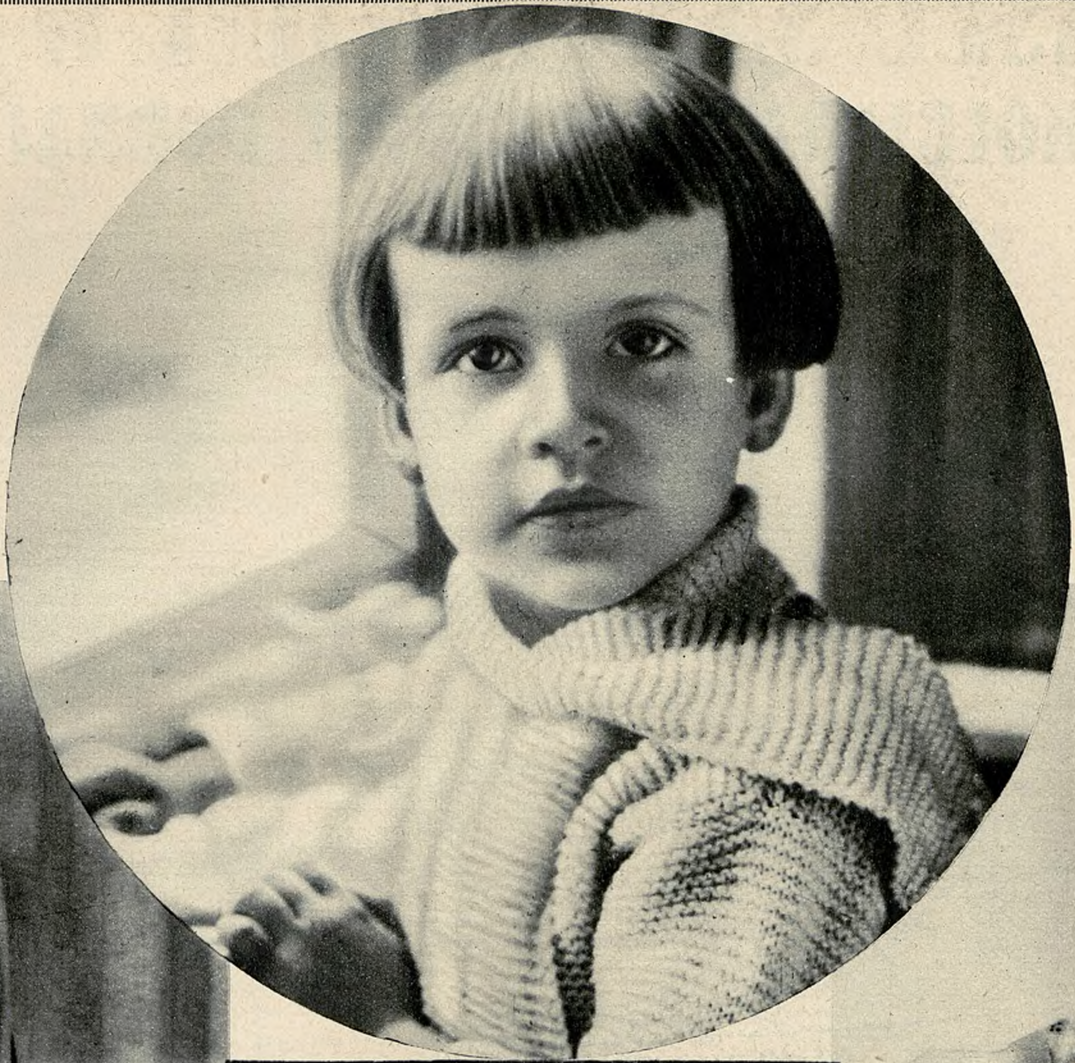
W ostatnich lat dziesiątkach poeci i beletryści nawrócili się również i — szerzej ujmują konflikty w zbiorowiskach ludzkich. Powieściopisarz Evers napisał bardzo grubą książkę o mrówkach i z tego dzieła wywnioskować można, ile istnieje przeróżnych analogij między nami i niemi, jak świetnie „owad gospodarny" rozwiązał najtrudniejsze kwestje socjalne: sprawę bezrobocia, kontrolę urodzeń, jak wprowadził właściwy podział pracy, racjonalną opiekę nad „bezdomnem dzieckiem", jak zdobywa pożywienie i zakłada spichrze dla rzesz pracujących.

Ongiś doszukiwanie się tego rodzaju podobieństw nazywano w nauce dość pogardliwie „antropomorfizmem" i poważny badacz unikał podejrzanych analogij, jak ognia.

Dziś uczeni badają zbiorowiska zwierzęce właśnie w tym celu, by wyciągnąć pewne wnioski, ważne dla społeczeństw ludzkich. Studjują na gromadzie izolowanych myszy wzrastanie i zamieranie t. zw. stałych epidemij w natłoczonych miastach, albo w społeczeństwie owadów szukają odpowiedzi na pytanie, czy istnieje jakiś kres, jakieś „maksimum zaludnienia" na świecie. Słowa „mrowie ludzkie" nie są już obrazem poetyckim. Nauczyliśmy się je pojmować głębiej.

Nasze codzienne troski i kłopoty sprawiły, żeśmy „wrócili do natury" i doświadczalnie, metodami przyrodniczemi, próbujemy rozwiązać niektóre z zagadnień gospodarczych.

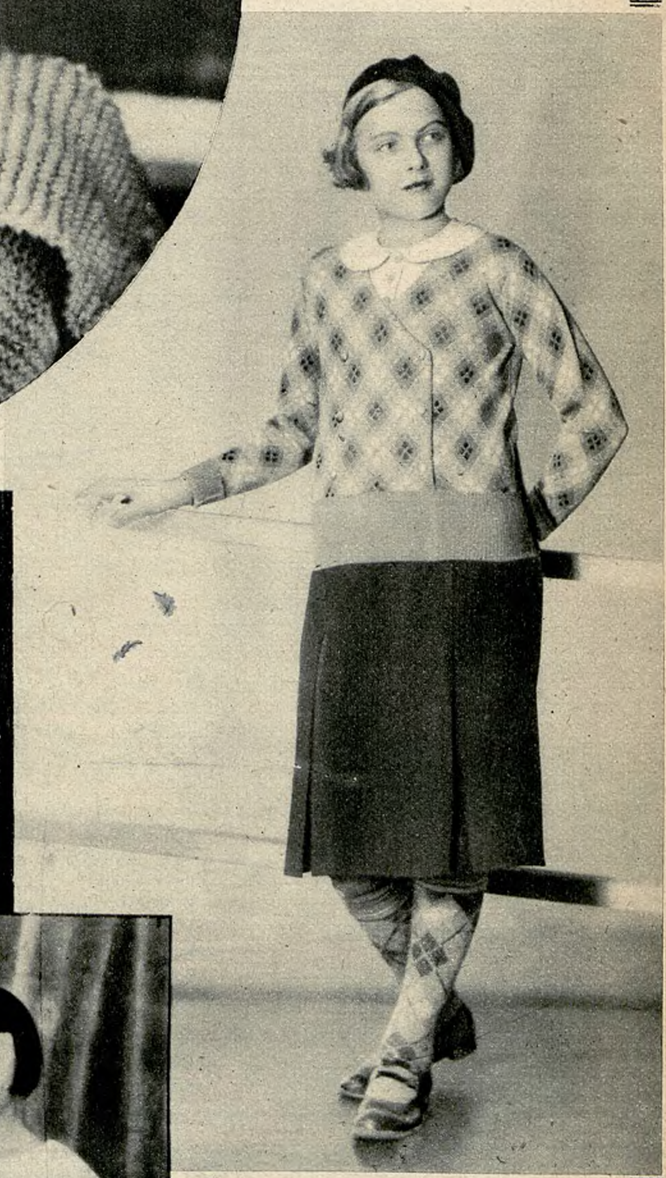
Żyjemy w czasach, kiedy nawet ekonomiści szukają rady u biologów.



JAK UBIERAĆ DZIATWĘ?



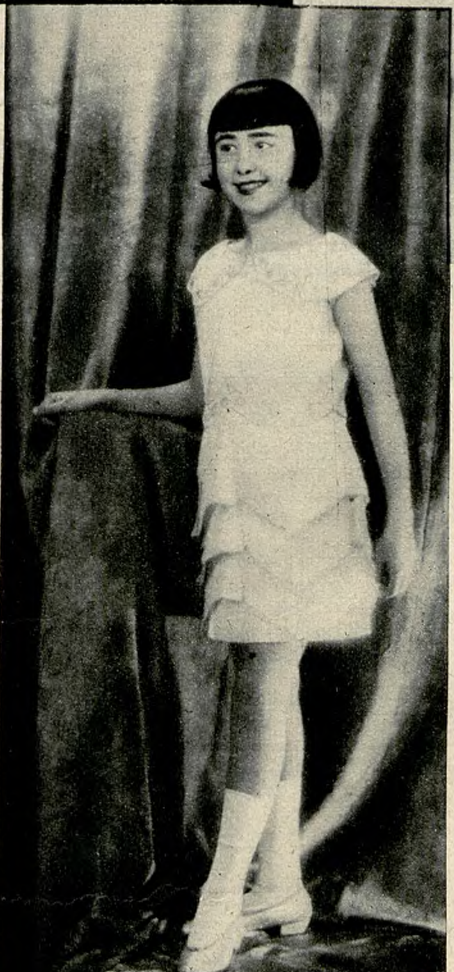
Płaszczyk z jasnej wełny przybrany selskinami lub barankiem. Kapelusik z tej samej materji co płaszczyk.



Praktyczna bluzka z wełnianego trykotu, ożywiona kamizelką i kołnierzem z białej piki.



Sukienka wizytowa z ciemno-zielonego aksamitu i szkockiego jedwabiu na zielonem tle.



Milutka sukienka z różowej crepe de chiny, ozdobiona skośnemi falbankami i kolorowym haftem.

Oto niekończąca się nigdy troska domowa — ubiór dla dziatwy! A niekończąca się dlatego, bo pociechy nasze rosną z dnia na dzień i wyrastają szybko ze wszystkich nawet na wyrost obliczonych sukienek, ubranek i płaszczyków. I choć dziewczynki nie niszczą swych sukienek tak szybko jak chłopcy, kwestja ta jest zawsze piekącą sprawą dla każdej troskliwej mamusi. — Zmysł praktyczności doradzić tu winien najpraktyczniejsze sposoby rozwiązania sprawy.

Wymaga to przedewszystkiem umiejętności przerabiania sukienek, tak, aby młodsze dzieci ubierać w sukienki starszego rodzeństwa, lub też aby taką „wyrośniętą" sukienkę przydłużyć czy też rozszerzyć, kombinując ją z innym materjałem, kontrastującym w kolorze lub rodzaju materji.

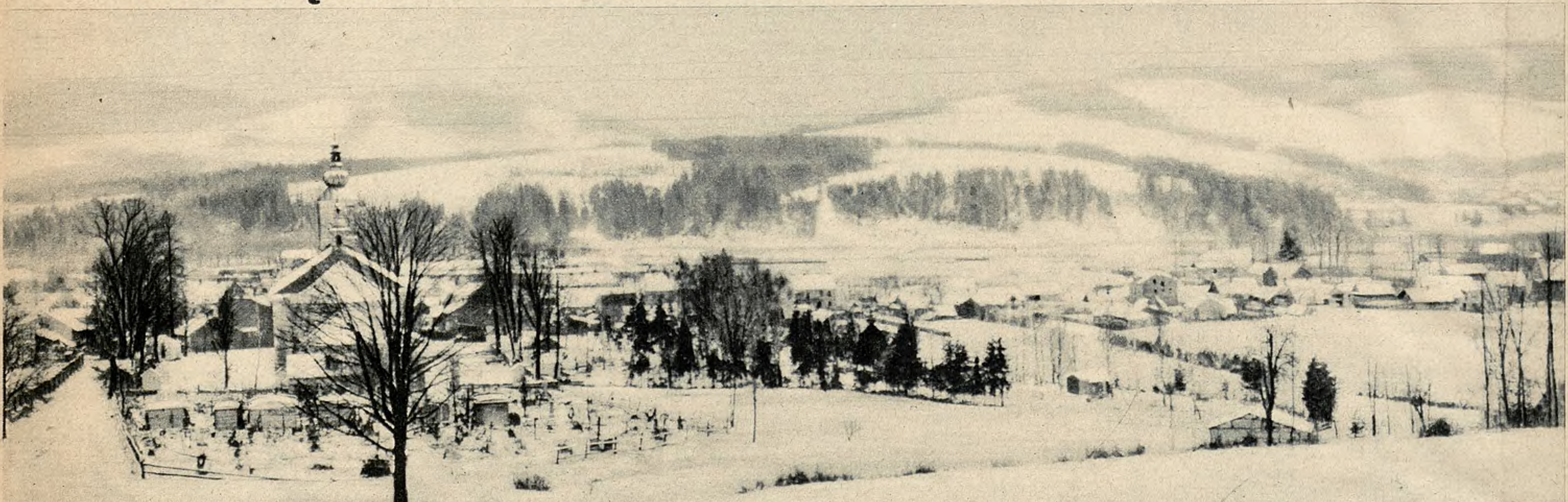
Bardzo praktycznie urządzić się można, mając w zapasie różne resztki materji, czy to od własnych sukien, czy też kupując na okresowych wyprzedażach okazyjne t. zw. resztki. Są one zazwyczaj bardzo tanie, a z dwóch ładnie dobranych resztek można skombinować sukienkę bardzo gustowną.

Nasz dzisiejszy „mały światek" uprawia naturalnie nieodzowne dla zdrowia sporty. Ślizgawka, saneczki, narty, w obecnej porze zimowej, wymagają osobnych kostjumów dla dziatwy. Dobrze, gdy znamy roboty szydełkowe, bo szale, czapeczki, sweterki, a nawet całe kostjumiki można haczkować z lekkiej wełny, tworząc ciepłe ubranie dla zimowych sportów.

Poniesione trudy przy szyciu ubrania dla dziatwy znajdą nagrodę w ich radości i miłym, schludnym wyglądzie naszych pociech.

W. W.

NAJWIĘKSZE SANATORJUM W POLSCE
BUDUJĄ KOLEJARZE W MAKOWIE PODHALAŃSKIM.

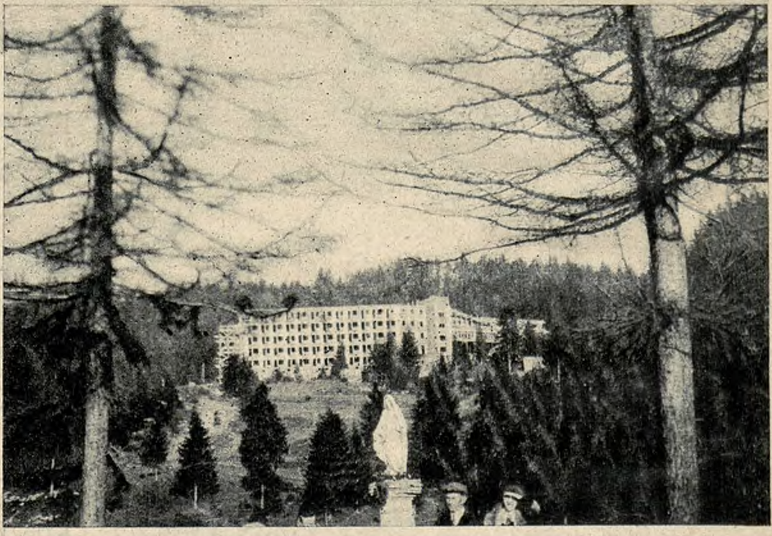




Ogólny widok Makowa Podhalańskiego. Na pierwszym planie kościół parafjalny, wzniesiony w 1820 r. w stylu Józefińskim.

Na lewo: Maków Podhalański jest jednem z nielicznych miasteczek w Polsce, posiadającem wodociągi. Zbudowano je za staraniem śp. posła Cezarego Hallera, przed wojną, kosztem 40.000 koron. Wodę wodociąg makowski czerpie ze źródła, znajdującego się w t. zw. Księżym Potoku. — Zdjęcie przedstawia fragment Księżego Potoku.

Na prawo: Widok na sanatorjum kolejarzy na Łysej Górze. Obok tego sanatorjum posiada parcelę Syndykat Dziennikarzy Krak.



W połowie drogi kolejowej pomiędzy Krakowem a Zakopanem leży Maków Podhalański, na wysokości 365 m. Miasteczko to, liczące około 5.000 mieszkańców, należy do znanych uzdrojowisk podkarpackich, odwiedzanych licznie przez ludzi, spragnionych świeżego powietrza i górskich kąpieli. Okolice Makowa są górzyste i lesiste. Leżąc w kotlinie Skawy jest Maków zasłonięty od wichrów i stąd posiada klimat bardzo łagodny, wprost idealny dla chorych na piersi. Te warunki sprawiły, że związek kolejarzy przystąpił w ub. roku do budowy w Makowie ogromnego sanatorjum, przeznaczonego dlą swoich członków. Olbrzymi ten czteropiętrowy gmach, który znajduje się na ukończeniu, wznosi się na Łysej Górze, na jej stoku południowym, tuż na skraju ogromnego lasu. Budowa tego sanatorjum wpłynie niewątpliwie na rozwój Makowa. Niestety w ostatnich czasach dotknął to miasto wielki cios. Oto Rada Ministrów postanowiła zlikwidować tam z dniem 1 kwietnia starostwo, kreowane w 1923 r. po czterdziestoletnich staraniach. Narazi to miasto na ogromne straty, a obywateli na ruinę, gdyż wiele mieszkań, budowanych wyłącznie dla urzędników, będzie obecnie stało pustką.

Maków, posiadając położenie centralne w stosunku do Suchej (6 km.), Jordanowa (16 km.), Zawoji (16 km.) i Rabki (21 km.) i mając doskonałe połączenia kolejowe, nadawał się, jak żadne inne miasto na siedzibę starostwa. Obecnie zaś Zawojanie będą musieli chodzić milami po bezdrożach gósrkich do Żywca, Jordanowianie do Myślenic, gdzie trzeba jechać autem, albo furką, a Makowianie do Wadowic. Czy to usprawni administrację, należy wątpić.

To też ludność jest w najwyższym stopniu rozgoryczona i czyni rozpaczliwe starania, aby Rada min. decyzję tę zmieniła, zwłaszcza, że obecnie jest tu wielka bieda, gdyż handel drzewem zamarł zupełnie, wszystkie tartaki stoją, a ceny inwentarza spadły katastrofalnie. Teraz np. za konie płaci się zł. 15'— do zł. 20'—. Wielkim ciosem dla tamtejszej ludności jest także zupełne wstrzymanie emigracji zarówno do Ameryki, jak i do Francji, co powoduje, że po wsiach w każdej chałupie gniecie sie kilkanaścioro ludzi, wegetujących nędznie bez nadziei znalezienia zarobku.

MISS RADOM 1932

Mówi się, że Polki słyną z urody. Gdyby jednakże kazano nam określić, jak właściwie ma wyglądać ta idealnie piękna Polka, to bylibyśmy w największym kłopocie, gdyż typ ten dotąd jest nieokreślony. Przeważnie wyobrażamy ją sobie, jako mickiewiczowską Zosię z Pana Tadeusza, a więc wiośnianą blondynkę o niebieskich oczach, naiwną, skromną i myślącą jedynie o gospodarstwie domowem.

Wybierane dotąd jednak Miss Polonie nie miały nic z tym typem wspólnego. Może jeszcze zbliżała się do niego p. Kostakówna, nosząca zaś dotąd królewską koronę Miss Polonia na r. 1929, dotąd nie zdetronizowana p. Zofja Batycka jest brunetką, wysoką, szczupłą o typie raczej demonicznym, aniżeli sielankowym. Znawcy twierdzą, że jest to kobieta w każdym calu rasowa, jednakże niereprezentująca typu polskiego.

Gdzież więc tego typu szukać? W Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Katowicach czy Kresach, pytanie dotąd nierozstrzygnięte.

Obecnie w szranki bojowe wystąpił i Radom. Na urządzonym tam konkursie palmę pierwszeństwa otrzymała p. Wanda Maślińska, dziewczyna 17-letnia. Trzeba przyznać, że wybór ten jest rzeczywiście trafny, p. Wandeczka jest bowiem miła, sympatyczna i naprawdę ładna. — Fryzurę tylko nosi nieodpowiednią, za poważną jak na jej wiek.

Tego roku konkursu na Miss Polonię zdaje się, znowu nie będzie. Impreza ta jest bowiem bardzo kosztowna i kosztuje około 20.000 złotych, czyli sumę, na którą nie każde wydawnictwo może sobie pozwolić i dlatego od trzech lat mamy w Polsce bezkrólewie. Z faktu tego są bardzo zadowoleni przeciwnicy konkursów, którzy uważają, że są one zupełnie niepotrzebne, gdyż przewracają kobietom w głowie i odwodzą je od normalnej pracy. Zarzut to bardzo niepoważny, gdyż piękno, odkąd świat światem, zawsze było przez ludzi wyróżniane i wielbione. Nie ma więc żadnego powodu, aby konkursy piękności potępiać.

Wyrażając takie zapatrywanie, mamy oczywiście na myśli tylko istotnie poważne konkursy piękności, nie zaś rozmaite podejrzane imprezy, jak również nie obejmujemy tym sądem występujących często w wielkiej a niejednokrotnie zdrożnej wybujałości następstw niektórych tej kategorji konkursów piękności. I zdaje się nam, że potępienie takich konkursów spowodowane zostało właśnie nadużyciem ich do celów, nie mających nic wspólnego z zasadniczem ich przeznaczeniem. Gdy się patrzyło z jednej strony na pewne objawy wśród tłumów, które uczestnicząc rzekomo w konkursach piękności, usiłowały przy tej sposobności zaspokoić zupełnie inne swoje instynkty, bardzo odległe od uczucia estetycznego — z drugiej zaś strony gdy się dostrzegało, jak, amerykańskie zwłaszcza i inne egzotyczne „królowe piękności" ten swój tytuł wyzyskiwały do celów egoistycznych, również z estetyką nie mających nic wspólnego — słowem, gdy tu i tam obserwowało się nadużywanie godziwej zasady do celów zdrożnych, nic dziwnego, że słusznem potępieniem objęto niesprawiedliwie nietylko samą zasadę, lecz i jej zwyrodnienie. Należy więc starać się o ukrócenie tych nadużyć, należy konkursy przeprowadzać poważnie, pod hasłem istotnego kultu piękności, należy zwalczać wszystkie ekstrawagancje i ultramodernistyczne tricki reklamowe, a wtedy okaże się, że sama zasada nie jest bynajmniej zdrożną. Minęła już bowiem epoka, kiedy, nieraz do tego obłudnie, manifestowało się dążność do kultury jedynie duchowej — nowoczesne sporty, wychowanie fizyczne, higjena i inne objawy życia dzisiejszego przyzwyczaiły nas już do uznawania konieczności pielęgnowania także kultury ciała.



P. Wanda Maślińska została wybrana królową piękności m. Radomia na rok 1932. Fot. St. Sybilski — Radom.

IMPREZY ZIMOWE w ZAKOPANEM.



Począwszy od grudnia ub. roku, Zakopane weszło w okres imprez zimowych. Oglądaliśmy już więc malownicze wyścigi góralskie konne i na saniach, skijöringi dla pań i dla panów i zawody narciarskie, ostatnio zaś w dniach 2 i 3 stycznia zawody łyżwiarskie o mistrzostwo Zakopanego i skoki na Krokwi.

Zawody łyżwiarskie zgromadziły licznych gości zagranicznych, głównie z Berlina i Opawy. I tak przybyli Ulla Schwarzówna (B. S. C. Berlin), W. Fechner (B. S. C. Berlin), Kępiński Jan, właściciel największej restauracji w Berlinie, który fungował jako sędzia z ramienia Niemiec, Holbaum Lieseli Lesert i małżonkowie Gaetzchmann (Berlin). Z zawodników krajowych stawali do konkursu: Cukiertówna (Warszawa), Fialówna (Cieszyn), Iwasiewicz (Warszawa), Marmol (Lwów), para Billorówna i Kowalski i Rudnicka Teuer.

Szkoda tylko, że nie dopisały warunki atmosferyczne, po 19-stopniowym bowiem mrozie nastąpiła nazajutrz odwilż i zaczął padać deszcz.

Wielkie zainteresowanie wywołały także drużynowe skoki na Krokwi, o puhar inż. Kazimierza Schielego. Pierwsze miejsce w nich zajęła drużyna SNTT w składzie: Czech Bronisław, Marusarz Stanisław i Marusarz Andrzej, osiągając notę 105.03. W klasyfikacji indywidualnej pierwsze miejsce zajął Marusarz Stanisław (długość skoku 46.53½).

Po zakończeniu zawodów konferencja ustaliła skład reprezentacji Polski na igrzyska olimpijskie w Lake Placid. Wyznaczeni zostali Stanisław i Andrzej Marusarz, Bronisław Czech, Stanisław Skupień i Zdzisław Motyka.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA“.



Doskonała łyżwiarka berlińska p. Ulla Schwarzówna, która gościła na torze w Zakopanem i była gorąco oklaskiwana przez publiczność za swoje wspaniałe produkcje, wykazujące niezrównaną, mistrzowską klasę.

Obok: Znakomity narciarz polski Bronisław Czech (oznaczony numerem 16) po udałym skoku wychodzi na skocznię na Krokwi.

Poniżej: Zagraniczni zawodnicy, którzy uczestniczyli w zawodach łyżwiarskich o mistrzostwo Zakopanego. Stoją od lewej: Schwarzówna (Berlin), Dr. Gaetzchman (Berlin), Kępiński (Berlin), p. Gaetzchman (Berlin), Losert (Opawa), Fialówna (Cieszyn, Polska) i Fechner (Berlin).



JERZY MARJUSZ TAYLOR.

WĘGORZ PUCKI.

Nowela z życia Kaszubów.

Tej zimy narzekali i klęli wszyscy rybacy. Mieli czego. Najstarsi mieszkańcy Chałup nie pamiętali takich złych połowów. Zdawało się, że ryby wyginęły doszczętnie w Małem Morzu, a i na Wielkiem nie było lepiej. Napróżno smołono i oporządzano łodzie, napróżno zwlekano je z brzegu, aby bezskutecznie przemierzać całą zatokę na wprost ku Gdyni i na ukos do Pucka.

Zaczęły się te połowy, jak zwykle, w końcu września, kiedy letnicy przestali już przeszkadzać rybakom, uwolnili ich od swej niekiedy uciążliwej, choć pożytecznej, obecności i pojechali z Bogiem do własnych checz, rozrzuconych po różnych miastach rozległej Polski. Już pierwszy dzień połowów przyniósł nieszczęście. Największy kuter, należący do zamożnego rybaka Adama Skruszały, złamał ster, zaledwie zdążywszy wyjść na morze. Sąsiedzi, którzy wyjechali jednocześnie zwykłemi łodziami, pospieszyli mu z pomocą. Nie poszło tak łatwo, bo Skruszale popsuł się na dobitkę silnik, ale uwiązali kuter linami i jakoś, z pomocą boską, przyholowali go do portu. Dzień był stracony, ale mówiło się, że jeden tylko. Przez wiele dni odtąd wyjeżdżali i powracali z niczem.

Dosłownie z niczem. Tyle tylko, że zmitrężyli chłopi, a baby też darmo nastarały się około nich w domu przed wyprawą. Ile tylko było w Chałupach łodzi, zdatnych do połowu — trzydzieści, albo i więcej, wszystkie co dnia wypływały na morze, pokiwały się na falach, opiły wody, a na południe wracały z pustemi sieciami, w kótrych zaplątało się tylko trochę morskiej trawy i tego przeklętego tłustego szlamu, co stanowi utrapienie rybaków na Małem Morzu.

Jedna z drugą przybijały do piaszczystego brzegu łodzie i wychodzili z nich markotni chłopi. A żaden nie oglądał się na sąsiadów. Wiadomo. Chłopu wstyd, gdy ryb nie przywiezie. Poprawił każdy kapuzę, całą lśniącą i mokrą od mgły, wyciągał łódź i rozwiesiwszy sieci na kółkach, leciał do swej checzy, gdzie spotykała go rodzona, lecz rozsierdzona białka.

— Zdrzyjle! — darła się w niebogłosy. — Znowu nimo nic? Tero z nama będze cheba amen!

Wszystkie tak wyrzekały. Nie dziwota. Kiedyż to widziano takie bezrybie? I o tej porze jeszcze? Wszak z końcem września właśnie, gdy jesień nabierała pełni kras, z głębin lądu, skądciś od Warszawy, a może aż z pod Krakowa całemi chmarami napływały Wisłą do Małego Morza tłuste i lśniące, wypasiona wśród szuwarów brzegowych wód węgorze. W dążeniu odwiecznem szlakiem przodków na gody miłosne, których miejsca nie znał nikt na ziemi, rozpełzały się po mulistem dnie zatoki. Gibkie i śliskie, zdobne w przepyszne barwy weselne, przesmykały się niespokojnie pod dnami czyhających na ich zgubę łodzi rybackich, zręcznie unikając zdradliwych sieci, i długo jeszcze błądziły wśród ciężkich, jakby sennych od jesiennego skwaru wód Małego Morza, zanim instynkt popędził je hen, daleko, ku owym straszliwym, bezkresnym oceanom, których fale nigdy nie nosiły smolonych czółen kaszubskich.

A jakże było na Wielkiem Morzu? Ech! W dniach, kiedy wody Grenlandji pokryje szorstka powłoka lodowego sadła, u pieszczonych jeszcze przez promienie późnego słońca żółtych brzegów Helu, pojawiają się gęste ławice drobnych, ruchliwych szprotów, za któremi w ślad, niby stada drapieżnych kruków goniących chyże wróbelki, ciągną nieprzeliczone zgraje srebrnołuskich śledzi. Ho! Ho! Jaki nawał roboty! Ani jedna łódź nie drzemała na słodkich wywczasach. Pozostawały w bezczynności takie chyba, co dawno wysłużyły swe lata i nadawały się już tylko do stałego spoczynku przy checzy w roli schowków na sieci i inny sprzęt rybacki.

Tak działo się od wieków i rok temu jeszcze. A dziś? Wody Małego i Wielkiego Morza jednakowo wymarły. Ryb nie było ani tu, ani tam.

Rozprawiała o tym dziwie cała wieś. O niczem innem nie mówiono i w szynkowni Adama Skruszały, gdzie strapieni rybacy zbierali się po południu, aby piwa popić i z sąsiadami ugwarzyć. W szynkowni zawsze weselej było niż w domu. Tu nikomu nie darła się nad uchem rozżalona białka. Odpoczywali więc, słuchając siarczystej muzyki tercetu.

Tego popołudnia również zapełniła się szynkownia, ale wesołości nie było. Gdzie tam! Każdemu dolegało to wspólne nieszczęście. Popijali więc piwo w milczeniu i słuchali muzyki. Sam Adam Skruszała rżnął na harmonji, młodszy jego brat Janek rzempolił na skrzypcach, a szwagier obu, mąż hożej niegdyś Skruszałówny i zarazem organista, wtorował im cienko na flecie. Składnie wychodziło. Zwłaszcza, gdy Janek zaczął podśpiewywać a nogami do taktu przytupywać.

— Dzelny bedze z nego knopa rebok — powiedział ktoś z uznaniem.

No, młodziak to jeszcze był, ale już nie knop. Dwadzieścia roków liczył. Jużci i białki do niego oczami strzygły, choć on na to uwagi zwracał mało, albo nic wcale. Najwięcej z rybakami lubiał przestawać, a kie z pozwolenia brata Adama, co mu za oboje rodziców oddawna był, bo pomarli niebożęta, do łodzi się dorwał, to ledwie na wieczór powracał. Tak kochał wodę. No i w połowach też nikomu pierwszeństwa nie ustąpił. W lecie największe przynosił makrele. Wszyscy zaś wiedzą przecież jaka to chytra ryba. Nie każdemu pochwycić się daje. A jemu zawsze szła w sieć. Dzięki temu w szynkowni Adama Skruszały w lipcu aż roiło się od letników. Miastowi ludzie lubią dalikatne ryby. Organiścina sama je smażyła. Wprost w ustach się rozpływały. Delicje.

Gra tym razem skończyła się prędko, bo rybacy gadali za dużo i za głośno. Gadali, jak zwykle, o bezrybiu. Gospodarz sam ciekaw był, co też ludzie o tem myślą. Przysiadł się więc z pełnym kuflem do kilku starszych chłopów. Tacy zawsze wiedzą więcej.

— No i coz? Nimo ryb? — zagadnął.

Splunęli ilu ich było, jak jeden.

— A nimo do bjesa.

— Widzyta — użalił się szynkarz. — Chtos je zaspiewał cheba, abo — dodał z miną tajemniczą — abo z morza Pucciego Węgorza wecyg.

— I to moze bydz.

Podejrzenia Skruszały zastanowiły starków. Zaczęli



rozważać dokumentnie, po chłopsku, ktoby mógł zaczarować ryby, albo, co gorzej jeszcze, wyciągnąć z zatoki Puckiego Węgorza. Nie. Takiego majstra nie było w Chałupach. Nie wydawała się też podejrzaną żadna starsza niewiasta, któraby, jak przed laty Cejnowka, umiała rzucać na morze uroki. Z letników też. Ech, nikt chyba!

— Ale! Przeboczelesta o nech czornech cudokach.

W szynkowni zrobiło się nagle cicho, jakby makiem posiał, a potem wszystkie spojrzenia zwróciły się ku Janowi Skruszale. Patrzcie! Młodziak, a jaki przemyślny. Ha! Teraz i oni już wiedzieli. Wszystkiemu winien był ów statek przeklęty, co zabłądził na polskie wody aż z Indyj, z krańca świata. Stał po dziś dzień w porcie gdyńskim, a miał załogę złożoną z samych ciemnolicych marynarzy, którzy włóczyli się po całem wybrzeżu. Jeden z nich był czarownikiem. Tak. Napewno. Pokazywał przecież różne sztuki. Tutaj nawet, w Chałupach, wobec tłumu ciekawych, rozsiadł się kiedyś na piasku z takiemi dziwacznemi płaskiemi koszami. Świstał przeraźliwie w długą piszczałkę, a z owych koszy wyłaziły żmije. Brrr! Aż strach brał. Były ogromne, o wiele większe od węgorzy i miały szkaradne, szerokie łby. Otoczyły go wkrąg i chwiały się cudacznie w takt przenikliwych dźwięków piszczałki, unosząc w górę swe obrzydliwe, połyskujące ciała.

On! Ani wątpić! On skradł Puckiego Węgorza i ukrył go wśród tych paskudnych żmij, aby z nim potem takie same pokazywać sztuki.

Pucki Węgorz! Ba! Toż to było całe bogactwo Małego Morza. Cała jego moc i potęga. Stary był. Odwieczny. Kiedyś, za czasów dobrego króla Kazimierza, co tak skutecznie bronił morskich granic Polski, żelaznym łańcuchem przykuto do pała wbitego w dno zatoki puckiej olbrzymiego węgorza, aby odstraszał żarłoczne foki. Od trzech wieków zatem urzędował Pucki Węgorz i dobrze z nim było. Z najstarszych nawet ludzi nikt go nigdy nie widział. Ale to nic. Wiedzieli, że jest. Ściągał zdaleka ryby, które może uważały go za jakiegoś swego burmistrza, czy włodarza.

Nawet Niemców o to zazdrość brała. Przyjeżdżali raz, huncfoty, zdaleka i chcieli przekupić burmistrza, aby im wydał Puckiego Węgorza. Byliby go posadzili gdzieś w Hamburgu czy Bremie, aby płudrom przymnażał bogactwa. Gdzie tam! Pojechali z kwitkiem. A tu masz! Jeden czarny przybłęda pozbawił lud rybacki jego skarbu.

Rozeźliły się twarde dusze chłopskie. Rozeźliły się, czując własną niemoc. Jak tu schwytać włóczęgę, skoro siedzi bezpieczny wśród swoich na statku w Gdyni. Ani weź! Dziadowie ich przynajmniej mieli czarownicę pod ręką. Cejnowska, która tak samo jak ów cudak zamorski, sprowadziła niegdyś na polskie morze bezrybie, była tuż. Mieszkała w Chałupach przecież. Nie wymigała się od płonącego stosu. A cudak ujdzie bezkarnie.

— Żebesme dostale go w ręce — odeżwał się ostrożnie Adam Skruszała.

— Ehe, brace! Belebesme z nim westworzale jak naszy starkowie z Cejnowką — zawarczał mściwie najbliższy jego sąsiad.

Więcej już nikt się nie odezwał. W całej szynkowni zapanowała naraz głucha cisza. Słychać było tylko metaliczny plusk kropli, spadających na blaszaną podstawkę z piwnego krana. Taka sama cisza zdarza się przed burzą, gdy bujne życie przyrody pogrąży się nieoczekiwanie w dziwnej martwocie. Znikąd nie zawieje wietrzyk. Żaden liść nie poruszy się na drzewie, a gwarne ptactwo milknie w przerażeniu. Nic, tylko cisza. I naraz rozlega się straszliwy łoskot gromu.

Przyroda jest pierwotna. Tłum chłopski też. W szynkowni rybackiej po chwilowym spokoju również rozpętała się burza. Nie! Niech nikt sobie nie wyobraża, że w starej piwiarni rybackiej padł piorun z belkowanego sufitu. Nie! Poprostu doleciał tu brzmiący groźbą okrzyk Jana Skruszały, który jakoś niepostrzeżenie wyskoczył na brzeg morza. Niedaleko to było. Szynkownia stała tuż nad zatoką.

Nikt z rybaków nie zrozumiał słów chłopca, ale wybiegli wszyscy. I czujne spojrzenia pobiegły w kierunku, wskazywanym przez wyciągnięte ramię Janka, ku Gdyni, owemu miastu-dziwu, co w ciągu kilku lat zaledwie wyrosło na piaskach wybrzeża.

Miało się już ku wieczorowi. Promienie zachodzącego słońca kładły się ukośnie, złocąc smukłe wieżyce kościoła i spadziste dachy wielopiętrowych budynków polskiego portu. — Bystrzejsze oczy widziały też wyraźnie wrzynające się daleko w morze ramiona gładkich, betonowych molo i ciemne sylwetki okrętów, co odpoczywały na rejdzie. Jeden najwidoczniej gotował się do wyruszenia w dal. Z jego komina sączyła się długa smuga czarnego dymu, a na maszcie łopotała flaga, której barw nie dojrzałby z tej odległości.

Jakim więc sposobem młody Skruszała zdołał rozpoznać, że to była trójkolorowa bandera statku, co przybył do Gdyni, aż z dalekiej Kalkutty, przynosząc rybakom nieszczęście? Tego nikt nie odgadnie. Może kierował się owym instynktem, który ludziom morza pomaga przebijać wzrokiem najgęstszą mgłę, a słuch ich potęguje do takiego stopnia, że zdaleka już rozróżni ucho rybaka, czy pluszczą się w jego sieci ciężkie, tłuste turboty, czy tylko zwykłe flądry.

— Cudoki! Cudoki w świat se wenekają! — krzyknął raz jeszcze.

Odpowiedział mu groźny pomruk. Podobny wydarł się niezawodnie z piersi dziadów tych rybaków, gdy przed stu laty bezmała, może na tem samem miejscu nawet, spostrzegli uciekającą Cejnowkę. Ale tamtym było łatwiej nasycić zemstę. Dokąd mogła umknąć słaba, osaczona ze wszech stron czarownica! Nawet do lasu dopaśćby nie zdążyła. Pojmali ją, jak tę nędzną kurę. Czarny djabeł zamorski miał do rozporządzenia okręt i gnał w świat, uwożąc z sobą — o tem nikt już nie wątpił — Puckiego Węgorza.

A jednak nikt się nie zawahał. Żaden z tych twardych rybaków kaszubskich, których przodkowie byli może korsarzami, nie zasięgał rady u innych. Żądza odwetu sama dyktowała wszystkim, co mają czynić. Ruszyli i jedna za drogą poczęły spełzać z brzegu szerokie, czarne łodzie. Jedna po drugiej wypływały na fale i pędziły w dal, okrywając się żółtawemi płachtami żagli.

Miastowemu przybyszowi mogłoby się zdawać, że jest świadkiem regaty, której nikt nie zapowiedział i nie przewidywał. Letnicy byliby się zapewne tem widowiskiem emocjonowali, a może nawet robiliby zakłady. Letników nie było, widzów jednakże znalazło się mnóstwo. Wszystkie baby, wszystkie dzieci, ile ich tylko liczyły Chałupy, wyległy z checz, spoglądając w milczeniu na pomykające wśród fal czółna. Nie inaczej zapewne zachowywały się ich prababki, których oczy widziały łodzie mężów, pędzące po łakomą zdobycz — bogaty statek kupiecki.

Jakaś pradawna baśń kaszubska wstawała z odmętu wieków i rozpościerała się zwycięsko, biorąc z powrotem w swe władanie ten wąski skrawek lądu, dziwacznym kaprysem natury rzucony wpoprzek szerokich wód Bałtyku. Okrutny Pokan — bóg zniszczenia i przeraźliwie blady Smęt — duch grozy, zdawali się unosić nad tym pościgiem, gnającym zapomnianym od wieków szlakiem korsarskim.

— Janek Skruszała wjedno pędzy a pędzy na przedze — odezwała się wreszcie któraś z kobiet. — Mo dobry bot.

Była to jedyna uwaga, jaka przerwała skupioną ciszę na brzegu, świadcząc o zdumieniu, wywołanem przez fakt wysunięcia się na czoło pogoni młodego chłopca, nieledwie jeszcze knopa. Nikt by go o to nie posądzał. Dla robiących zakłady letników, Janek Skruszała mógł się napewno wydawać „fuksem". Mógłby im przynieść znaczne zyski w zakładach, No, ale zakładów nie było.

A młody Janek w samej rzeczy był pierwszy. Jego małe czółenko wyprzedziło inne o dobrych kilkaset metrów i parło naprzód, przeskakując przez fale, obryzgujące mu żagiel deszczem pian. Pozostałe łodzie ciężko walczyły z wiatrem, starając się przeciąć drogę statkowi, który szedł pod pełną parą i znajdował się już tak blisko.

Teraz widać było dokładnie nietylko powiewającą na jego maszcie trójbarwną banderę brytyjską, lecz nawet ciemnolice twarze zalegającego pokład tłumu hinduskich marynarzy.

Odległość, dzieląca czółno Janka od okrętu, zmniejszała się z każdą chwilą. Jeszcze kilka skutecznych ruchów żaglem, chwytającym na swój użytek podmuchy kapryśnego wiatru i czarna łódeczka wykręciła się sprawnie, unikając uderzenia o masywny bok statku-przybłędy.

Teraz leciała równolegle z nim, wydętą płachtą żagla muskając grzbiet długiej fali. Młody Skruszała więc spojrzał nareszcie w górę. Zobaczył nad sobą tłum przechylonych przez burtę parowca postaci. Wszystkie miały

obce, ciemne twarze i wpatrywały się weń bacznie wąskiemi orzechowemi oczami. Na głowach miały wielkie zawoje, a tak były do siebie podobne i jednakowe, jak jednakowe są krople wody deszczowej.

— Halt! Le stójta! — zawołał.

Zrozumieli napewno. Mógł się o tem przekonać z szyderczych uśmiechów, które wypłynęły w tej chwili na ciemne twarze cudoków zamorskich. Żaden z nich jednak nie ruszył do koła steru, żaden nie wydał przez tubę maszyniście rozkazu, aby wstrzymał bieg statku. Wtedy młody Skruszała uciekł się do środka ostatecznego. Wydobył z pod ławki spoczywający na dnie łodzi ciężki bosak żelazny, zaopatrzony w groźnie zagięte ostrze.

Takiemi samemi zapewne jego nieznani przodkowie z triumfalnym okrzykiem hamowali przeznaczone na złupienie okręty kupieckie.

Janek postąpił nieco inaczej. Nie wydał triumfalnego okrzyku i nie wbił bynajmniej swego oręża w pokład statku, lecz nieznacznym ruchem ręki przerzucił poprostu żagiel na drugą stronę masztu. Czółno skręciło błyskawicznie i wykonawszy coś w rodzaju skoku przez falę, znalazło się tuż przy olbrzymim sterze statku, pod którym, wyrzucając kłęby białej piany, łopotała niestrudzenie potężna śruba.

Nie miał zamiaru uszkodzić steru. Po co? Cel jego był inny. Chciał wbić swój bosak pomiędzy skrzydła śruby, które musiałyby się połamać w ciągu jednego mgnienia. Ale do tego nie doszło. Tłum ciemnolicych cudaków spostrzegł niezwłocznie i zrozumiał znaczenie manewru nieobliczalnego w swych postępkach tubylca.

Rozległo się donośne wołanie. Ruch śruby zwalniał, a potem ustał zupełnie i wiozący czarownika statek zakołysał się wśród zupełnej ciszy na szerokiej roztoczy wód. W następnej zaś chwili zjawił się przy burcie opalony, ale bynajmniej nie czarny kapitan w ugalonowanej złotemi sznurami czapce brytyjskiej marynarki handlowej i, stojąc wśród swych oturbanionych majtków, wdał się w rozmowę z szalonym chłopakiem, co ośmielił się napaść na jego statek wśród dnia białego.

Rozmowa ta nie bardzo się kleiła, gdyż kapitan mówił po angielsku, podczas gdy Janek posługiwał się rodzimą gwarą polskiego wybrzeża. A jednak dogadali się, bo obaj byli ludźmi morza i rozumieli wymowę ruchów rąk, któremi każdy z nich dopomagał sobie obficie.

Anglika wprawdzie ponosił z początku gniew. Utemperował go jednakże szybko widok całego roju łodzi, które napłynęły z dali w międzyczasie i otoczyły groźnym wieńcem parowiec brytyjsko-indyjski. Kto wie, co z tego mogło wyniknąć. W razie dalszego oporu musiałoby w najlepszym razie nastąpić znaczne opóźnienie w podróży. Kapitan marynarki handlowej wolał załatwić sprawę polubownie.

— Zawołajcie Lal-Singha — polecił. — Niechaj przyniesie tu swój kosz z wężami. Ci szaleńcy chcą, aby jednego zostawić im na pamiątkę. Well! Możemy to zrobić!

Tak się też stało. Jakiś długi kształt szarozielonej barwy zakreślił szeroki łuk w powietrzu, skręcił się kurczowo kilkakrotnie i pogrążył z pluskiem w wodzie Bałtyku, aby nie wypłynąć już z powrotem. Żywa ta wstęga mogła być straszliwym, jadowitym okularnikiem, zrodzonym pod upalnem słońcem Indyj Wschodnich, mogła też być — nikt z rybaków nie miał jej w rękach przecież — wielkim Węgorzem Puckim, co od wieków strzegł bogactw zatoki.

Jak tam było naprawdę — nie wiemy. Kapitan spoglądał zgóry uśmiechnięty szeroko. Uśmiechali się również jego podwładni. Lal-Singh tylko miał twarz posępną. Może żałował swej ofiary. A rybacy? Ci zapomnieli nagle o statku. Zapomnieli nawet o Węgorzu Puckim. Jeden z nich bowiem zanurzył w morzu umocowaną na długim drągu niewielką sieć i wydobyć ją pełną trzepoczących się, połyskliwych rybek, które wszyscy powitali radosnym okrzykiem.

Bezrybie skończyło się. Sunąc tuż pod powierzchnią wody, napływały ławą z Wielkiego Morza do zatoki, oczekiwane zdawien dawna, upragnione szproty.

Szarada.

(ul. St. Millerowa, czł. Warsz. Kl. Szar.).

Nie lubię płakać, narzekać,
„Pierwsze-trzy-drugie" powodu,
I mogę cierpliwie czekać
Pomimo głodu, czy chłodu...
A jednak, gdy jestem „całe",
„Trzy-drugie-co" mnie poruszy,
każde zmartwienie małe,
amień pada na duszę!...
a to **„czwarta wspak — trzecia,**
„piąta-trzecia" w jesieni,
arta z krasy i kwiecia,
Pełna załamań i cieni...
„Pierwsze-dwa-siódmy" jest człowiek
Na łaskę obcych mu ludzi,
Gdzie drgnienie najlżejsze powiek
Każdy Twój zapał ostudzi.
Podporządkować się musisz
Pod rygor i obcą wolę —
I nawet się nie pokusisz,
By się odróżnić w tem kole!...
I choć Cię lubią, schlebiają,
Uśmiechów, pieszczot nie skąpią,
Tacy serdeczni się zdają,
To jednak Ci nie zastąpią
„Piątej-sześć-siódmej"! To trudno!
Czuje się pustkę wokoło,
Choć wokół gwarno i ludno,
Smutno... choć niby wesoło!
Jednakże ja nie narzekam,
W kąt płacze i żale puste!
Cierpliwie i z wiarą czekam —
Wiara nadzieję **„pięć-szóste!"**

Za rozwiązanie powyższej szarady redakcja „Swiatowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 40, druga zł. 25, trzecia zł. 15.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 16-go stycznia 1932 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 51

„Nożyce prokuratora".

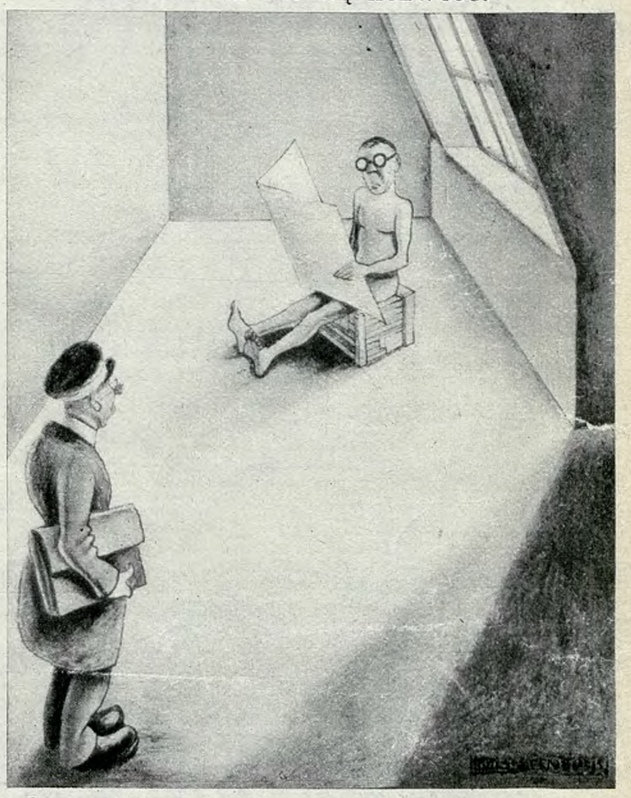
Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 51 nadesłali:

J. Grzęda, Gniezno; Jawnuta, Słonim; Z. Rakowska, Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; St. Zawadzki, Warszawa; J. Ruta, Wieluń; A. Peterkiewiczówna, Częstochowa; Dr J. Gerstenfeld, Drohobycz; Z. Pieracki, Wilno; R. Dergiman, Wilno; A. L. Ordza, Kraków; Jaworzyńska, Kraków; D. Bielecka, Ludwikowo; H. Sobkiewiczówna, Poznań; J. Sierpniak, Inowrocław; Cz. Gorzkowska, Kraków; A. Urbankiewicz, Pabjanice; M. Moszyńska, Lwów; St. Chmielewska, Starogard; K. Kretkowski, Warszawa; J. Gryglaszewski, Kraków; Wł. Wielhorski, Płock; J. Głuchowska, Pińczów; J. Burska, Łuck; B. Ramułtowa, Jeżów; J. Tomczakowa, Pabjanice; . Czarnomska, Kalisz; T. Sławnicki, Białystok; J. Wolańska, Miory; St. Jankowski, Wilno; M. Barczewska, Bydgoszcz; R. Klimczak, Warszawa; S. Płóciennik, Warszawa; H. Kowalska, Łódź; L. Perlberger, Pzemyśl; J. Maciąg, Zawiercie; T. Berner, Bielsko; Br. Aegler, Kościan; Zb. Block, Poznań; St. K., Stanisławów; H. Odachowska, Radom; T. Sobecki, Poznań; St. Bąkowski, Kraków; A. Rotter, Kraków; W. Luxenburgowa, Płock; Z. Żorówna, Poznań; R. Schützowa, Poznań; Gankawicz, Żegiestówski Jaślak; B. Morgenbesser, Łoszniów; O. Wróblewska, Inowrocław; W. Komorowska, Inowrocław; St. Kornaszewski, Inowrocław; St. Leszczyński, Sosnowiec; A. Turowicz, Płock; H. Zasztowtowa, Katowice; W. Siuta, Kołomyja; H. L. Piątkowski, Łódź; M. Pietrasz, Wilno; T. Rakowska, Poznań; St. Rakowski, Poznań; Z. Busiówna, Kraków; H. Kornaszewska, Łask; A. Bieganowski, Łomża; J. Tippowa, Kraków; Br. Rudnik, Warszawa; Edw. Szynke, Warszawa; H. Zarembianka, Toruń; A. Lorenzówna, Toruń; J. Dobrowolska, Toruń; M. Poćwiardowska, Toruń; K. Koszko, Zakopane; Wł. Boner, Lwów; M. Pułkowa, Żywiec; **Wanda Olexówna, Warszawa (zł. 40.—)**; D. Dobrowolski, Warszawa; A. Berezowska, Lwów; „Maryśka z Pohulanki"; L. Glaszmidt, Warszawa; Wł. Szproch, Dąbrowa Górn.; H. Zadarmowski, Dubno; I. Frezerowa, Ossówiec; Wład. Parfus-Fiołkowa, Sosnowiec; M. Gorzecka, Kraków; Wł. Iwaszek, Trzemeszno; W. Kortylewicz, Poznań; Irene, Muszyna; W. Chmielowska, Poznań; J. Sroczyński, Poznań; M. Waksmundzka, Jasło; M. Taras, Stryj; Wł. Pochmarski, Lwów; Wł. Lubnauer, Zgierz; J. Rogowski, Warszawa; W. Perantoni, Lwów; K. Uljańska, Częstochowa; Kaz. Jurkiewicz, Śniatyn; kpt. J. Sosenko, Dąbrowa; D. Herbstmanówna, Warszawa; St. Kowalski, Pińczów; H. Drzewiecka, Miejska Górka; M. Lambachowa, Lublin; D. Bartnicka, Pabjanice; K. Puchowicz, Warszawa; R. Osowska, Bydgoszcz; T. Klimczak, Złoczów; H. Puksztowa, Łódź; L. Bronner, Kraków; J. Bielesz, Kraków; L. Pleskaczówna, Kraków; St. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; J. Modzyński, Warszawa; Ir. Witkiewiczowa, Lwów; St. Czerniawski, Warszawa; J. Surma, Białystok; M. Kacenelenbogen, Łomża; I. Leszczyńska, Łowicz; „Rolly", Grudziądz; X. L. Z. z Pińska; Bron. Godziszewska, Mołodeczno; St. Godziszewski, Mołodeczno; R. Chr., Łuck; Z. Wieczorek, Tarnobrzeg; plut. M. Szymko, Podbrodzie; Moliccy, Zbąszyń; J. Baranowska, Wilno; T. Kalus, Wełnowiec; J. Maziarz, Ozorków; B. Kociuba, Kraków; L. Silberstein, Kraków; M. Urbach, Kraków; H. Pinkas, Kraków; B. Kościelecka, Żnin; J. Janota, Rabka; Ir. Lewicka, Lwów; N. Chowańcówna, Stanisławów; Cz. Błażejewski, Ząbki; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; Ant. Bittnerowa, Jaworzno; M. Zaporowski, Dąbrowa Górn.; Zdz. Fischbach, Ostrów; sap. J. Ciastoń, Kraków; por. Br. Bubnicki, Kraków; J. Manber, Kraków; Cz. Kozłowski, Warszawa; K. Langer, Przemyśl; Ign. Bies, Zakopane; L. Jajkiewicz, Tarnobrzeg; mjr. Edw. Paszkowski, Rzeszów; K. Wasielewski, Ostrów; M. Kubiczowa, Poznań; St. Effert, Poznań; A. Szmytowa, Poznań; B. Bieńkowski, Lublin; St. R. Śledziński, Kraków; Wł. Sowa, Dąbrowa Górn.; L. Galewiczówna, Ozorków; M. Dejewska, Toruń; W. Dejewska, Toruń; M. Rappel, Augustów; Cz. Sopielewski, Bydgoszcz; J. Kulesza, Myszków; H. Turowicz, Kraków; J. Waniek, Kraków; L. Świerczyński, Lwów; L. Domański, Kowal; Kaz. Hanus, Nadwórna; W. Kłosowski, Skierniewice; St. Jarecka, Kalisz; L. Jurkiewicz, Lwów; „Alila", Warszawa; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; Ir. Kalinowska, Warszawa; L. Tryczyńska, Kraków; J. Gurczak, Bystra; St. Mucha, Kraków; W. Wóblewski, Włocławek; J. Baziuk, Kraków; **Jadwiga Gapińska, Bydgoszcz (zł. 25.—)**; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; K. Pająk, Targanica; St. Stępiński, Łódź; M. Tarasiewicz, Staszów; J. Stolarski, Łódź; Cz. Kowalska, Warszawa; A. Zimmemann, Stryj; Wł. Gąsienica, Zakopane; M. Lewicka, Wojniłow; Dr med. G. Bodnar, Przemyśl; „Tolek", Królewszczyzna; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Cz. Konieczny, Toruń; Izabella Tasienkówna, Kalisz; H. Homanek; J. Miodowiczówna, Gniezno; Cz. Giersztówna, Gniezno; Ir. Giersztówna, Gniezno; I. Heiber, Drohobycz; M. Świerczykówna, Poznań. T. Neumann, Drohobycz; W. Pędzimąż, Zakopane; J. Huzówna, Niewachlów; Stańczyk, Inowrocław; W. Wysocki, Skierniewice; pchr. P. Ładaref, Bpdgoszcz; E. ałczyńska, Włocławek; J. Pająk, Nowy Targ; Br. Chyczewski, Warszawa; M. Kernerówna, Nadwórna; M. Jackowska, Borysław; A. Hauschildowa, Nowy Targ; Zb. Patlewicz, Gostyń; A. Kostyrka, Brześć; J. Zdzitowiecki, Żabno; M. Wawrykówna, Lwów; J. Jaworzyński, Kraków; M. Szuberowa, Sambor; Cz. Kozak, Nowy Targ; Wł. Kudrzycki, Łódź; Eug. Gorodecki, Częstochowa; K. Haluch, Lwów; **E. Firczyk, Wadowice (zł. 15)**; J. Sielska, Warszawa; W. Gromska, Radom; M. Paszkiewiczówna, Brześć; M. Pietrusiński, Brześć; E. Komoowicz, Jędrzejów; J. M. Brzozowska, Warszawa; J. Jonasik, Łask; W. Sawościanik, Wołkowysk; Z. Ludwigowa, Warszawa; Eug. Symonówna, Kraków; Z. Wołoszynówna, Dębica; J. Siutówna, Kraków; Wł. Góral, Kraków; K. Ballas, Skoczów; K. Czapliński, Kraków; Fr. Litwiński, Lublin; K. Massalski, Zakopane; „Wilnianka"; E. Rozenberżanka, Brzeziny; E. Szumlakowska, Jarosław; Tad. Trąbczyński, Łódź; M. Mejowa, Poznań; Ap. Piekosiński, Prokocim; J. Wiewiórowska, Warszawa; T. Sochówna, Kórnik; J. Tomaszewski, Rogóżno; inż. M. Musiałowicz, Sieraków; E. Leonowiczówna, Berezno; J. Kowalczykówna, Łódź; W. Ussowiczowa, Piastów; M. Urban, Kraków; D. Piekosińska, Brzezowiec; A. Piekosińska, Brzezowiec; St. Pawłowski, Łódź; L. Pawłowski, Łódź; M. Rundowa, Bielsko; Z. Piasecka, Kraków; Bron. Friede, Warszawa; Zb. Szymonowicz, Lwów.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Wandę Olexównę, Warszawa (zł. 40.—), Jadwigę Gapińską, Bydgoszcz (zł. 25.—) i E. Firczyka, Wadowice (zł. 15.—).

Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

GOŁY NIE BOI SIĘ ROZWOJU.



Po przejściu komornika, egzekutora i sekwestratora, płatnik ze spokojem przyjmuje inkasenta Kasy Chorych.



— Co się wujciowi najbardziej u nas podoba?
— To, że macie tylko jedno dziecko.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON N. 2 upoważniający do

OMAL NIE NOC POŚLUBNA...



...em powodzeniem cieszy się w Teatrze Letnim w Warszawie, angielska komedja W. Ellisa, p. t. „Omal nie noc poślubna", w której główne role kreują pp. Malicka i Osterwa. Zdjęcie nasze przedstawia p. Malicką w roli Rozalji.

Fot. Malarski — Warszawa.